AS

Nr. 1 2 STYCZNIA 1938 CENA 40 GROSZY

W NOC SYLWESTROWĄ...



Fot. Atlantic

KALENDARZYK AS'a 1938 STYCZEŃ

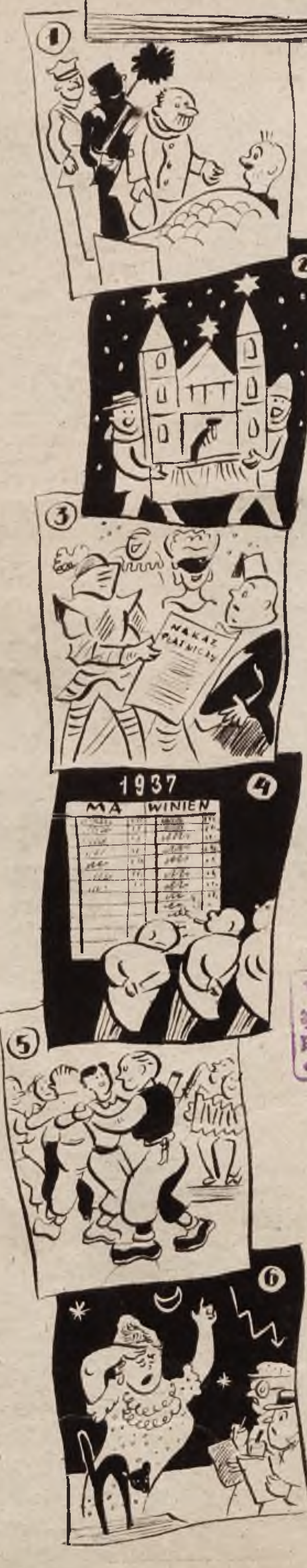
CHARLIE

CO LUDZI INTERESUJE W TYM MIESIĄCU?..

1. ŻYCZENIA NOWOROCZNE. Pod drzwiami naszych mieszkań tworzą się długie kolejki osób, które pragną nam złożyć życzenia. Teraz dopiero rozumiesz, dlaczego małe dzieci straszy się kominiarzami. Jesteś już człowiekiem dorosłym, mimo to widok grupy ludzi z kilkoma kominiarzami na czele budzi w tobie lęk. Właściwie ogarnia cię też i uczucie pewnego zadowolenia. Tylu ludzi dobrze ci życzy... Po chwili jednak widząc, że twoja gotówka szybko topnieje, składasz sobie w duszy jedno życzenie noworoczne — aby nikt ci już więcej nie składał życzeń.

2. KOLENDNICY. W okresie noworocznym wyruszają na miasto szopkarze i kolendnicy z turoniem! (Nie mylić z Toruniem). Po większych miastach zaczynają się przedstawienia rozmaitych szopek politycznych. Wybitni politycy zamiast czytać długie bilanse swej rocznej działalności, idą na przedstawienie szopki, gdzie dowiadują się o wszystkiem, co w ciągu roku dokonali. Pisanie szopek politycznych jest obecnie ułatwione. Każdy zresztą może tanim kosztem zrobić sobie taką szopkę samemu w domu. Trzeba w tym celu powycinać ze starych gazet przemówienia wybitnych dygnitarzy i skleić to razem. Cała rodzina się uśmieje. Tylko nie należy niczego zmieniać w tekstach, które są naprawdę bardzo dobre. Dzieci można zaprowadzić na szopki tradycyjne. Oczywiście tylko mniej nerwowe dzieci. Gdy się zapytają na przedstawieniu, kto to jest Herod, można im wytłomaczyć, że to był taki dawny cenzor, który wszystko ścinał. Można też dzieciom w delikatnych słowach opowiedzieć o rzezi niewiniątek. Jest rzeczą naturalną, że nawet mniej nerwowe dziecko będzie wstrząśnięte tą opowieścią i powie: „Matusiu ja się tak boję — a co będzie, jeśli teraz jaki Herod urządzi rzeź niewiniątek"? Wtedy możesz mu odpowiedzieć; „Nie bój się, teraz niema niewiniątek... zresztą o tej nocy św. Bartłomieja to były tylko plotki".

3. BALE I REDUTY. Zaczyna się karnawał, który w nadchodzącym roku będzie bardzo długi, huczny i wesoły. Idąc na zabawę kostjumową należy obmyśleć jakiś efektowny kostjum. Dla P. T. komorników i poborców podatkowych polecamy zbroje średniowiecznych rycerzy, zawsze to bezpieczniej. Kostjum rycerza byłby natomiast kłopotliwy dla wybitnego polityka — bo coby zrobił, gdyby tak od niego piękna maseczka zażądała na reducie „Odsłoń skarbie przyłbicę". Cenzorom jest najbardziej do twarzy w kolorze — białym. Kostjum można zrobić z jednej białej płachty. Kostjum humorysty łatwo można uszyć w domu ze starych kalendarzy.



4. BILANSE. Czas zrobić bilans. Ironja losu sprawiła, że właśnie w okresie, który poświęcony jest zabawie i powszechnemu weselu — w samym karnawale, trzeba robić bilanse. Należy tu wyjaśnić — że bilansem w języku handlowym nazywamy zestawienie smutnych cyfr, na które złożyły się śmiesznie małe obroty przedsiębiorstwa. W wielkich przedsiębiorstwach sporządza się wykres graficzny i ze spadku krzywej można wywnioskować o stanie interesów. W mniejszych przedsiębiorstwach można się obejść bez wykresu. I tak o stanie interesów można wyczytać z krzywej... miny szefa. Z bilansów przedsiębiorstw wynika, że cała akcja pomocy zimowej jest skierowana na niewłaściwe tory. Powinno się raczej wspierać właścicieli wielkich zakładów, aby mogli przetrwać do następnej zimy.

5. DANCING — NARTY — BRIDŻ. Należy koniecznie zaopatrzyć się w kostjum do gry w bridża, który można nabyć w każdym sklepie z przyborami narciarskiemi. Buty do gry w bridża powinny być z dobrej, grubej skóry. Mając kiepskich partnerów należy przed wyjazdem do Zakopanego zaopatrzyć się w większą ilość kijków narciarskich, gdyż szybko się łamią przy grze. Kostjum narciarsko-bridżowy nadaje się świetnie na dancing. Można w nim także jeździć na nartach. Należy jednak uprzednio zapisać się na jakiś kurs narciarski. Można grać w bridża, jak noga stołowa, ale gorzej jest jeździć na nartach jak... złamana noga stołowa.

6. WRÓŻBY. Po Nowym Roku pojawia się w pismach wiele wróżb rozmaitych jasnowidzów i astrologów, którzy czytają z gwiazd jak z nut. Dla wybitnych mężów stanu jest to świetna mnemotechnika. Poprostu w gwiazdach są zapisane wszystkie wojny, zamachy i kataklizmy, jakie mają wybuchnąć w roku 1938. Wybitny mąż stanu nie zapomni więc o wypowiedzeniu wojny czy zorganizowaniu jakiegoś zamachu stanu. Każdy mąż stanu powinien sobie wyciąć wróżby na rok 1938 i potem wiernie je wypełnić. Ciarki mnie przechodzą na myśl, że mogą zapomnieć o jakiejś wojnie... To byłoby bardzo niegrzecznie zadawać kłam gwiazdom...

Adkalendasgraecas.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNK. Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 1 **Niedziela, 2 stycznia 1938** **Rok IV**



Zapewne niewielu z Was — mili Czytelnicy — otrzymało tak pokaźną ilość prezentów gwiazdkowych i noworocznych, jak ten szczęśliwiec na ilustracji, skądinąd popularny gwiazdor filmowy, Ben Blue. — Ale niech Was to nie martwi! Nowy Rok 1938 będzie napewno dla Was wszystkich znacznie pomyślniejszy, czego Wam życzy

REDAKCJA MAGAZYNU „AS"

Jutro KARNAWAŁ

W okresie karnawałowego szaleństwa i beztroskiej zabawy na pięknych balach i redutach sylwestrowych widok maski jest rzeczą zwykłą. Ludzie, bawiąc się całą duszą, potrzebują czasem czegoś, co maskując bodaj chwilowo właściwe ich oblicze i ich naturę, pozwala im wejść w „cudzą skórę", by w zmienionej postaci nawiązać jakąś ciekawą znajomość, niemożliwą w normalnych warunkach życiowych, lub intrygę, za którą, wróciwszy do szarej rzeczywistości można nie brać żadnej odpowiedzialności... Dzieje jednak popularnej maski karnawałowej są bardzo ciekawe, a jej początków szukać należy jeszcze w zamierzchłych czasach ludzkości.

Wtedy to dzisiejsza, najczęściej błazeńska maska, odgrywała pierwszorzędną rolę przy ceremonjach religijnych i wszelakich uroczystościach, świętowanych przez ludy pierwotne. Była jednak straszliwa i groźna, bo też do innych, niż dzisiaj służyła celów. Powstanie swe zawdzięcza maska dziecinnej i antropomorfizującej umysłowości ludów dzikich, które w czasie prymitywnych obrzędów religijnych posługiwały się nią jako prawie najważniejszem narzędziem kultu. Tatuaż i malowanie twarzy lub całego ciała ma po dziś dzień u ludów dzikich znaczenie i cel, daleko odbiegający od zamiarów kosmetycznych — zwłaszcza u mężczyzn. Mają one przerazić ewentualnego wroga i zmusić go do ucieczki.

Dzisiaj działanie masek jest tam skierowane głównie przeciw siłom złym, niewidocznym, ale złośliwym demonom oraz bóstwom, działającym na szkodę człowieka. W masce, kryjącej albo całą twarz, albo nawet głowę wychodzi się tam odważnie naprzeciw nieszczęściu, chorobie czy śmierci, w tej błogiej nadziei, że prze straszone jej widokiem demony uciekną w przerażeniu. Naiwna wiara napełnia człowieka pierwotnego otuchą, że taka maska-hełm, chroniąc głowę, nie dopuści do człowieka żadnych złych wpływów. Ten szeroko rozpowszechniony zwyczaj używania masek w celu odstraszenia zła, zachował się dziś jeszcze wśród dzikich plemion, zamieszkujących wyspy Oceanu Spokojnego. Skoro pojawi się tam zaraza, nieszczęście, choroba, śmierć natychmiast stosuje się środek zapobiegawczy Duk-Duk. Polega on na tem, że specjalnie uprzywilejowana osoba, przystrojona w maskę straszliwą i liście drzew wyrusza w otoczeniu analogicznych „straszydeł" w pochód przez wieś, osadę czy okolicę. Wśród dzikich wrzasków i niesamowitych podrygów, zbierając dary po drodze, maszeruje do granic wsi, by przepędzić „za góry, za lasy" złego ducha. Dzicy ludkowie wierzą, że okropna broda, wściekłe spojrzenia, wywalony język tej potwornej „maszkary" przyniosą im pożądany skutek.

U innych ludów, aby odegnać zbliżające się zło, wystawia się język i odkryte pewne części ciała, a odpowiedni grymas twarzy, stwarzający na poczekaniu odstraszającą maskę oraz symboliczny ruch ręką służą do przepędzenia precz złośliwego ducha. (Porównaj nasze: tfu! tfu! na psa urok — jako reakcja na t. zw. „złe spojrzenie"). Takie i tym podobne ceremonje, nie wyłączając pochodu masek uprawiają nietylko ludy na niskim szczeblu rozwoju.

Dzieje starych narodów europejskich znają je również i notują jako jeden ze sposobów, stosowanych dla oddalenia nieszczęścia. Wspomnijmy tylko święto wiosny u starożytnych Germanów, Celtów czy Słowian, którego ślady po dziś dzień zachowały się w wierzeniach ludu wiejskiego (święto Marzanny: wyganianie ze wsi lub topienie kukły, symbolizującej zimę i choroby).

Odstraszające maski wojenne dzikich wojowników odzywają się echem w klasycznym micie Gorgony, której głowa z wężami zamiast włosów, umieszczana na piersiach lub tarczy była niczem innem, jak straszliwą maską, której sam już widok miał porazić wroga i ułatwić jego pokonanie.

Wizerunki smoków i innych fantastycznych potworów, na hełmach średniowiecznych rycerzy, służyły do tego samego, co głowa Gorgony celu.

Osobne miejsce należy się maskom umarłych, szeroko rozpowszechnionych w dawnych dziejach ludzkości. Ponieważ wierzono, że złe duchy gnębią nietylko żywych, ale i umarłych, przeto zaopatrywano tych ostatnich w maski, by „po tamtej stronie" nie poznały ich złośliwe bóstwa i nie



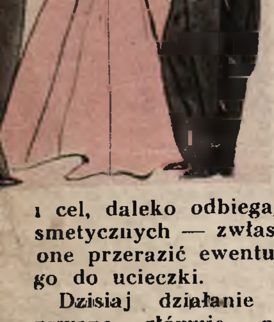
Groteskowa maska z Kamerunu.



Na prawo: Na maskaradach kobiety pojawiają się często w stroju męskim... (Sherry Haas z paryskiego „Tabarin").
Fot. Dorvyne — Paryż.



Oto jak wygląda nad ranem „pobojowisko" sylwestrowe.
Fot. Mandi, Amsterdam.





W czasie karnawału dochodzi do skutku najwięcej małżeństw...



mogły szkodzić. Takie złote maski ochronne dawali zmarłym do grobu Egipcjanie, Kartagińczycy; miedziane i drewniane maski znajdywano w grobach meksykańskich, srebrne i drewniane w grobowcach Peru. Dziś jeszcze w najdzikszych okolicach Azji zwyczaj ten podobno istnieje. Z drugiej strony żywi chętnie nosili maski w czasie lub po ceremonjach pogrzebowych celem ochrony przed umarłymi, gdyż wierzono, że ci zwłaszcza, którzy zginęli nagłą śmiercią lubią wracać do swoich domów, by straszyć nowych mieszkańców. Gdy już jesteśmy przy maskach ochronnych przed umarłymi, warto wspomnieć zwyczaj notowany w dawnych Chinach. Oto w wieczór sylwestrowy chodzono tam w maskach, aby ukryć twarz przed demonem śmierci, który w ten ostatni dzień roku szuka sobie ofiary na rok następny.

Starożytni Etruskowie i Rzymianie specjalną czcią otaczali maski swych przodków, oddając im cześć na domowym ołtarzu. Znali oni również od Greków maski zwierzęce (u ludów dzikich stosowane w czasie łowów), których szerokie użycie wiąże się z kultem Dionizosa lub rzymskiego Bacchusa. Wiele bóstw greckich i rzymskich, podobnie jak w Indjach i Egipcie, posiadało zwierzęta, ich kultowi oddane i poświęcone. Maski tych zwierząt w najszerszem znaczeniu, t. j. całą ich skórę, ruchy, głos, chód przybierano na siebie i naśladowano, by w ten sposób okazać cześć danemu bóstwu. Na misterjach ku czci Dionizosa, z okazji święta winobrania tworzyły maski Sylena, Pana, Fauna, byka, kozła podstawową część przedstawień. A ponieważ teatr grecki pozostawał w ścisłym związku z uroczystościami dionizyjskiemi, łatwo było masce przejść oficjalnie z pól, lasów i chramów na scenę. Tu święciła ona przez długie lata triumfy, gdyż jako wygodny rekwizyt teatralny umożliwiała mężczyznom granie ról kobiecych, lub występowanie naraz w kilku rolach. Od Greków przeszła maska do Rzymian, znajdując i u nich analogiczne, jak w Grecji zastosowanie. Noszono już wtery także maski ulubionych herosów, wierząc, że wraz z niemi przejmuje się wszystkie cechy bohatera, jego siłę i zdrowie itd. Na święcie eleuzyjskiem ku czci Cerery maska tej bogini była niezbędnym strojem kapłańskim. Nowy rok witali Rzymianie również w maskach.





Do wesołego nastroju maskarad przyczynia się niewątpliwie i wygląd ekscentrycznych strojów...

W swym dziejowym pochodzie wkracza również maska na sceny średniowiecznych teatrów. Zna ją włoska commedia dell'arte, jednak użycie jej zmniejsza się coraz bardziej od XV w. Colombiny, arlekiny, pierroty to współczesne echa tych odległych czasów.

Sama maska w swym wielowiekowym rozwoju ulega rozmaitym przeobrażeniom, przystosowanym do okoliczności życiowych. Obok straszliwych masek wojennych egzotycznych ludów pojawiają się zczasem maski teatralne: tragiczne, komiczne, satyryczne, wyobrażające różne nastroje, stany uczuciowe, temperamenty i charaktery.

Materjał, z którego ją wyrabiano też przedstawia się rozmaicie: złoto, srebro, miedź, drzewo, kora, skóra, wosk, potem papier, jedwab, płótno, barwnie malowane lub naszywane błyszczącemi cekinami. Czasem kryje całą głowę, czasem tylko twarz, odkrywając jedynie oczy. W nowszych czasach przypinane nosy wystarczają niektórym do całkowitej zmiany fizjognomji na balu maskowym. Maskę znają wszystkie czasy i epoki, ale jako część stroju zabawowego zaczęła być niezbędną od średniowiecznych tańców maskowych, urządzanych po turniejach rycerskich. Słynne maskarady czyli bale maskowe, wiodąc swój żywot z Włoch, rozpowszechniły się z biegiem czasu w całej Europie a od XVII w. stały się ulubioną formą zabawy.



Na balach widzi się nieraz wspaniale stylizowane tualety...
Fot. Willinger — Wiedeń.



Na lewo: Karnawał w Wenecji (obraz Tiepola z galerji pałacu Papadopoli).

Kroniki towarzyskie z ub. lat notują rozmaite przepiękne „kreacje kostjumowe", jakie ukazywały się w świetle żyrandoli na balach przedwojennych. Pierroci, kolombiny, czarne domina, tyrolki, carmeny, myśliwi, markizy, mefistofelesy i inne mniej lub więcej fantastyczne „typy" oraz nierzadko doskonałe imitacje znakomitości żyjących, współczesnych, zapełniały i zapełniają (choć teraz znacznie mniej) sale balowe w okresie karnawału. Pod osłoną „obcej skóry" a zwłaszcza znakomicie konspirującej maski twarzowej snują się intrygi i szaleństwa.

Maska, narzędzie pierwotnego kultu religijnego, potem rekwizyt teatrów starożytnych i średniowiecznych, w nowszych czasach karnawałowa zabawka, umożliwiająca zawiązanie pikantnej intrygi, dla nowoczesnego człowieka zachowała przedewszystkiem swe pierwotne znaczenie... ochronne!...

Mgr. Helena Bartoszek-Zastawniakowa.

Na prawo: Maska z wysp Melanezji.



Zające bielaki w letniej szacie.



Na zimę przyodziewa się pewien gatunek zajęcy, zwanych bielakami, w białe futerko.

ZIMOWY STRÓJ ZWIERZĄT

Myliłby się ten, któryby sądził, że jedynie tylko człowiek a przedewszystkiem przedstawicielki płci pięknej, idąc za postępem mody i czasu zmieniają swój strój zależnie od pory roku.

Szatę swą zewnętrzną zmieniać mogą także i niektóre zwierzęta. I one stosują się do pewnej mody sezonowej. O ile jednak moda, której podlega pan stworzenia — człowiek ulega ustawicznym zmianom zarówno pod względem kroju jak rodzaju tkanin, o tyle moda w świecie zwierząt od wieków jest ta sama, nie ulegając żadnym modyfikacjom.

Człowiek w okresie zimowym nosi futra i wełniane ubrania jako złe przewodniki ciepła, które stanowią warstwę izolacyjną między jego ciałem a powietrzem, przyczem w zimowych strojach przeważają barwy ciemne i spokojne w przeciwstawieniu do żywych w lecie.

Rodzaj ubrania człowieka zależy w znacznej mierze od szerokości geograficznej, jaką zamieszkuje. Grube i ciepłe ubranie, które stanowią przeważnie skóry zwierzęce wkłada na siebie Eskimos, mieszkaniec ziem północnych, pokrytych wiecznym śniegiem i lodem, bez ubrania niemal chodzi murzyn, którego ciało wystawione jest bezpośrednio na działanie palących promieni afrykańskiego słońca.

Podobnie zwierzęta, żyjące na dalekiej północy, gdzie dokucza zimno i mróz mają futra gęste i zbite w przeciwstawieniu do stosunkowo lżejszego stroju swych krewniaków z okolic o cieplejszym klimacie. Przykładem zmiany stroju u zwierząt zależnie od klimatu mogą być dzisiejsze słonie i nosorożce, których skóra jest niemal zupełnie naga i zrzadka tylko porośnięta włosami, podczas gdy ich protoplaści, żyjący w zamierzchłych czasach w okresie lodowcowym nosili gęste futra o długim włosie.

U zwierząt zmiana stroju nie występuje jednak tak często jak u człowieka. Zwykle ma ona miejsce na przełomie wiosny i lata oraz jesieni i zimy, a więc dwa razy do roku. Szata letnia jest lżejsza, zimowa zaś cieplejsza. Zwierzęta przy zmianie tego stroju tracą włos czyli — jak się mówi — lenią się. Wszystkie zwierzęta podobnie jak człowiek przywdziewają na zimę szatę cieplejszą. Futro zwierząt ssących staje się bardziej puszyste i gęste, wiadomo też, że polowania na wszystkie zwierzęta futerkowe odbywają się porą zimową, wtenczas, gdy futro ich jest najpiękniejsze. Niektóre ze zwierząt zmieniają nie tylko jakość swego włosa z cieńszego na grubszy, lecz także barwę swej szaty z ciemniejszej letniej na białą zimową.

Każdy zapewne przypomina sobie, że po raz pierwszy zetknął się z nazwą gronostaja w latach dziecięcych podczas czytania baśni o bogatych królach, z których ramion zwieszał się purpurowy płaszcz z długim trenem, niesionym przez paziów, podbity gronostajami.

Do dnia dzisiejszego futra gronostajowe wchodzą w skład królewskiego stroju i należą do najcenniejszych futer. Wspaniałe to futerko jest zimową szatą niewielkiego zwierzęcia zwanego łasiczką gronostajem. W lecie futerko jej jest barwy cynamonowej i tylko na podbrzuszu białe. W zimie zaś biała jej szata nie odróżnia się niemal zupełnie od śnieżnej bieli podłoża. Jedynie tylko ruch końca czarnego ogonka zdradza obecność zwinnego zwierzątka. Nic dziwnego, że gronostaje osiągają na rynku wysokie ceny. Futerka te zdobyć można jedynie w zimie, poza tem są one tak maleńkie, że trzeba ich bardzo wiele, aby mogły się stać ozdobą stroju człowieka.

Z sezonowej zmiany swego stroju znany jest lis polarny, zamieszkujący daleko na północ wysunięte części zarówno Starego jak i Nowego Świata. Jego piękne, białe futro wydało go na łup człowieka. Często życie jego pada ofiarą kaprysu wszechwładnej mody i pięknej pani, która wymaga jako ozdoby swego stroju jego puszystego futra. Lis ten występuje w dwóch odmianach: białej i niebieskiej. Jedna i druga stanowi pożądliwy przedmiot polowań myśliwych.

Skromnie, szaro zabarwiony w czasie lata zając bielak, żyjący także w północnych częściach naszego kraju „ubiera się" również w zimie na biało. Gęste i puszyste futerko chroni go przed zimnem.

Podobnie jak zwierzęta ssące zmieniają swoją sierść przez utratę włosów cieńkich i delikatnych, na miejsce których wyrastają grubsze i gęstsze i ptaki zmieniają swe piórka, czyli pierzą się. Zmiana ta dotyczy zwykle tylko gęstości upierzenia, różnice bowiem jakie zachodzą w barwie są bardzo nieznaczne. Są także, chociaż nieliczne i takie ptaki, które podlegają „modzie sezonowej" i zmieniają barwę swoich piór.

Szatę zimową odmienną w barwie od letniej przybierają pardwy znane w Polsce w dwóch gatunkach, a żyjące pozatem w Alpach, Pirenejach, Skandynawji, Grenlandji, Ameryce pn. i pn. Azji. — W lecie rdzawo-szare, na zimę stroją się w piękna białą szatę i jedynie tylko końce piór w skrzydłach i ogonie pozostają czarne. Na dalekiej północy żyją pardwy w większych ilościach i stanowią cenny łup dla myśliwego. Eskimosi chętnie polują na te ptaki na Grenlandji, nietylko bowiem mięso ich stanowi smaczny kąsek, lecz wnętrzności, jedzone na surowo zaraz po zabiciu ptaka są doskonałym i skutecznym lekarstwem przeciw szkorbutowi. W nadtrawionym bowiem pokarmie roślinnym zawierają one witaminy.

Zmiana szaty letniej na zimową u tych wszystkich zwierząt ma przedewszystkiem na celu zabezpieczenie ich przed zimnem i surowymi warunkami, jakie stwarza zima. Barwa zaś biała, która cechuje „stroje" niektórych zwierząt, ma również do pewnego stopnia i znaczenie ochronne, gdyż na tle białej ziemi, pokrytej śniegiem, stają się one mało lub prawie zupełnie niewidoczne.



Pardwy na śniegu są nieomal niewidoczne z powodu swego białego upierzenia.

Dr. Z. M.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Chociaż pisaliśmy w świątecznym numerze — „że najpiękniejszym prezentem gwiazdkowym dla filatelisty mogą być tylko znaczki lub album“ nie myśleliśmy, że słowa te obrócą się w rzeczywistość właśnie w stosunku do nas samych. Oto jednak w sam dzień Wigilji otrzymaliśmy od naszego stałego czytelnika p. Emila Borowskiego z Wiednia list ofrankowany całą austrjacką serją „dobroczynną“, na widok której serce każdego zbieracza musi opanować uczucie pożądania.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, jak wdzięczni jesteśmy za pamięć o „Kąciku“ i ze swej strony życzymy wszystkim zbieraczom, aby w Nowym 1938 Roku zdobyli przynajmniej dwa razy tyle znaczków co w 1937! Wszystkie zaś ministerstwa poczt zaklinamy „na kieszenie“ tych męczenników, którzy musieli w ubiegłym sezonie wydać całą swą gotówkę na kilkadziesiąt nowych bloków, aby nie wykorzystywały naszej namiętności w tak „perfidny“ sposób. Cieszymy się też bardzo, że nasze zapatrywania podziela w zupełności p. dr. Stanisław Netcer z Płocka, który pisze: „Uważam że żaden r a s o w y filatelista nie powinien bawić się w zbieranie bloków, gdyż nie służą one do ofrankowywania listów i dlatego mijają się ze swem przeznaczeniem“.

Trudno powiedzieć, która z seryj austrjackich, wydawanych corocznie na cele dobroczynne jest najpiękniejsza. To tylko jest pewne, że jako „zespół“ tworzą one całość, która nie ma równej sobie na świecie pod względem wykonania. Widzieliśmy więc już słynnych muzyków, prezydentów, widoki miast, pisarzy, malarzy, obrońców Wiednia z 1683 r., architektów, wodzów, wynalazców, a w tym roku przyszła kolej na lekarzy. Chociaż tylko jedno nazwisko na 9 jest bardziej znane ogółowi (Billroth), to jednak wszystko to są postacie, którym za zasługi na polu medycyny należałoby się coś więcej niż złoty krzyż. Z wyjątkiem van Swieten'a, nadwornego lekarza Marji Teresy i dyrektora instytutu medycznego w Wiedniu, byli to sami profesorowie uniwersytetu wiedeńskiego, który jak wiadomo w tej dziedzinie przodował w naukowym świecie.

Wszystkie znaczki są drukowane wspaniałym miedziorytem we formacie 28× 36 mm. Nazwisko artysty Dachauer'a sygnowane pod rysunkami, nie jest naturalnie obce posiadaczom poprzednich seryj, podziwiać tylko należy, jak długo utrzymuje on swą sztukę na takim poziomie. Do ceny nominalnej pobiera poczta austrjacka 100% dodatku na cele dobroczynne, a ponieważ serję sprzedaje się tylko w całości, musi ona kosztować dość drogo (5,26 szylinga).

Barwy znaczków są następujące: 5 gr — brązowa, 8 gr — czerwona, 12 gr — szara, 20 gr — zielona, 24 gr — lila, 30 gr — karminowo-brązowa, 40 gr — oliwkowa, 60 gr — c. niebieska, 64 gr — fioletowa. Może niepotrzebnie podniesiono ilość znaczków w serji z 6 na 9, różnica jednak w cenie minimalna, bo dodano tylko najniższe wartości.

Jak widzimy, znaczki te nalepione są na specjalnej kopercie, wydanej przez austrjacki Związek Stowarzyszeń Filatelistycznych. W każdym razie pochwały godnem jest, że nad Dunajem ministerstwo idzie „ręka w rękę“ ze zbieraczami i widząc, jak wielkie ciągnie zyski z egzemplarzy niestemplowanych, idących masami w szeroki świat, stara się zadowolić najwybredniejsze wymagania.

Niezmiernie oryginalnym jest stempel we formie trąbki pocztowej, używany w „dniu znaczka“ i podkreślamy raz jeszcze zasługę naszego korespondenta, który postarał się już wówczas o ten specjalny kasownik.

Z innych nowości, których nadmiar omówimy dokładnie w następnym numerze, wymieniamy narazie tylko znaczek USA za 3 c. z widokiem gór na Alasce (format poziomy) i odmianę koloru Francji z siewczynią za 30 c. czerw.-brązowa.

Holenderska serja „Voor het kind“ obejmuje w tym roku 5 wartości.

Niewiadomo czy ostatni dodatek Michla — zniżający w sposób zupełnie rewelacyjny ceny bloków — zwiastuje już na dobre kryzys tej „zboczonej“ formy. W każdym jednak razie przed pogromem ocalało tylko bardzo niewiele bloków i to tylko dawnych wydań, a stan obecny nie wróży przyszłym emisjom niczego dobrego. Będziemy też bardzo zadowoleni, jeśli w przyszłości nakład każdego bloku wyniesie conajmniej po 200 tysięcy sztuk, a dopłat nie będzie się wcale pobierać.

Ukazał się już nowy katalog Witkowskiego na rok 1938, wykazujący wiele zmian w stosunku do starego wydania. Omówimy je dokładnie w następnym numerze.

Przybyły już do Polski koperty, które „obleciały“ cały świat. Nie wiadomo, jaka będzie w przyszłości cena takiego egzemplarza, który wysłano najpierw z Paryża do Natalu w Brazylji, stamtąd do Nowego Jorku, potem do Hongkongu, a wreszcie do właściwego adresata. Ze względu na bardzo ciekawe stemple zareprodukujemy podobną kopertę w najbliższym „Kąciku“.

Cena, którą należało opłacić zgóry, wynosiła 100 franków, ale bezwątpienia za 18 złotych nikt podobnej sztuki obecnie już nie zdobędzie.

Witold Horain.

Aukcje: Dorotheum, Wien I, Dorotheergasse 11. W każdy wtorek i piątek.



Najnowsza serja znaczków austrjackich, wydana na cele dobroczynne.

ARTYŚCI I PUBLICZNOŚĆ

NAPISAŁA

LILY ★ PONS

ARTYSTKA „METROPOLITAN OPERA HOUSE" W N. JORKU



Kto osiągnął sukcesy na jakimkolwiek terenie artystycznym, ten powinien często wspominać początki, swoje pierwsze kroki i poczuwać się do obowiązku służenia własnem doświadczeniem innym, przed którymi otwiera się ta sama droga. Dlaczego nie zadać sobie trochę trudu, aby zaoszczędzić niecelowych i nużących doświadczeń młodym, przejętym tą samą namiętnością, która niegdyś przyświecała naszemu życiu?

Coprawda tylko nieliczni artyści przyznają, że doświadczenie kolegów mogłoby im się przydać. Naogół każdy chce działać na własną rękę i jest przekonany, że podoła uniknięciu pomyłek, które dla niejednego z jego poprzedników były zdradzieckie. Jest to całkowicie ludzkie, tak dalece, że nie można tego nikomu brać za złe. Przytem wiara w siebie i we własne zalety, we własne zdolności jest uczuciem, dodającem odwagi i oznaką siły, jak długo nie ulega się przesadnemu samopoczuciu.

To też nie chcę nikomu udzielać rad; a jeżeli bodaj kilka moich słów padnie na żyzny grunt i stanie się bodźcem do rozważnego postępowania, będę uradowana, a te rozważania napewno nie pozostaną nieproduktywne.

Niewątpliwie komunałem jest to co powiem, że życie artystki jest twarde, a osiągnięcie celu wymaga olbrzymiej odwagi, wielkiej inwencji czynu, samoopanowania, inteligencji i rozsądku. Jednak komunał ten jest najszczerszą prawdą. A gdy już cel jest osiągnięty, wówczas trudności zjawiają się tylko pod zmienioną postacią. Zaczyna się ustawiczna walka, aby utrzymać się u szczytu, aby nie runąć wdół. I tylko tym nieszczęśliwym, którzy nie utrzymali się na szczycie, wiadomo, jak łatwo się z niego osunąć, choć jest się jeszcze podziwianym, bo każdemu krokowi towarzyszy zawiść i zazdrość.

Nie wolno pozwolić sobie na najmniejszą słabość i ustępliwość, bo każda może być „śmiertelna". Artysta nie należy do samego siebie. Jego życie prywatne jest własnością opinji publicznej. Jego skłonności, jego przyjemności są omawiane i nielitościwie osądzane przez bezimienny tłum, którego jest niewolnikiem, są komentowane i krytykowane. Jest to niewolnictwo, ale takie, które jest nam miłe i do którego wszyscy wzdychamy.

Artysta początkujący musi się nad tem rozważnie zastanowić, czy ma wstąpić na tę niebezpieczną drogę. A gdy już decyzja dojrzała, należy się uzbroić w cierpliwość i wytrwałość, wytknąć sobie wysokie cele i oznaczyć dalekie horyzonty.

Bardzo wielu artystów, istotnie utalentowanych i mających szanse do osiągnięcia wyżyn, popełnia ten błąd, że zbyt szybko chcą dojść do celu i nie mają cierpliwości na wyczekanie właściwego momentu. Muszą mieć natychmiastowe sukcesy, sławę, pieniądze, wogóle wszystkie korzyści zaraz. Jeżeli rozpoczynają bieg do mety zbyt wcześnie bez dostatecznego przygotowania, ich sukcesy będą tylko przejściowe. Mówi się o nich 2 lub 3 lata — i już są wykończeni i zapomniani.

Jeżeli przyszły artysta miał to szczęście, że znalazł wartościowego nauczyciela, zajmującego się jego wykształceniem, musi zawsze o tem myśleć, że cierpliwość, okazywana przez jego profesora, jest znikoma wobec cierpliwości, na którą on sam powinien się

zdobyć. Lecz to wymaga bardzo dużo opanowania. Ja sama na zalecenie mojego profesora powtarzałam po 20 i 30 razy to samo ćwiczenie, tę samą arję. Przyznaję, że nie zawsze umiałam wówczas pojąć, jakie to było konieczne. Ale dzisiaj jakżeż mu wdzięczna jestem za to!

Czy i ja nie doznawałam rozczarowań? O tak! Lecz na szczęście nie trwają długo te przejściowe przesilenia woli. Po ataku zwątpienia następuje okres szaleńczej brawury czynu, gdy człowiek wytęża całą swoją odwagę, aby dokonać więcej, aby usunąć swoje błędy, jednem słowem — aby iść naprzód.

Istotnem podłożem powodzenia jest naturalnie talent. Wyczuwa się wówczas ufność profesora mimo, że czyni zarzuty. Poznaje się, że właśnie jego rozgoryczenie jest najlepszym dowodem zaufania, pokładanego w naszych usiłowaniach. Wtedy należy powiedzieć sobie: Muszę pracować i to pracować rozsądnie, z metodą i wytrwałością, a niech mi zawsze przyświeca myśl przewodnia, że mam zdobyć się na to najlepsze, na co mnie stać, aby osiągnąć doskonałość.

Zaznaczyłam już, że nigdy nie byłam zadowolona z miernych wyników. Obawiałam się wędrówek prowincjonalnych z jednej małej mieściny do drugiej. Powiedziałam: wszystko albo nic. Gdy uświadomiłam sobie zatem wszystkie przeszkody i trudności, z któremi spotkałam się we Francji, zdecydowałam się na wielką stawkę i wyjechałam do Stanów Zjedn.

Sukces był tak wspaniały, o jakim nawet nie marzyłam. Po trzech tygodniach koncertowania zostałam zaangażowana na 5 lat do Metropolitan Opera w Nowym Jorku, na 2 lata otrzymałam engagement w wytwórni płyt gramofonowych najlepszej marki i pozyskałam najzręczniejszego impresarja.

Ten czasokres był uwieńczony trwałemi triumfami, a zachwyt Amerykanów był tak wielki, że miastu Adamtown nadano moje nazwisko i od tego czasu nazywa się Lily-Pons-Town.

A więc jestem szczęśliwa! Któż nie odczuwałby tego samego szczęścia na mojem miejscu? Kocham szczerze moją sztukę, a publiczność daje mi dowody swojej miłości. Mimo to jestem posłuszną niewolnicą tych obydwóch uczuć. Poprostu nie dysponuję już sama sobą.

Życie artystki operowej nie jest szeregiem przyjemności. Przeciwnie, jest to poniekąd droga, najeżona ustawicznemi ofiarami. Przedtem nigdy się tego nie przeczuwa, nie bierze pod uwagę. Nie wolno konsumować alkoholu, nie wolno palić; wolno wychodzić tylko w dniach pogody. Dlatego jest się zmuszonym dawać często odmowne odpowiedzi na zaproszenia, nie wolno udawać się na miejsca większych zebrań, gdzie powietrze mogłoby zaszkodzić głosowi.

To też przeważnie siedzę w domu i poza godzinami, przeznaczonemi na pełnienie moich obowiązków, stykam się tylko z nielicznymi przyjaciółmi, z dziennikarzami i fotoreporterami, którzy zachowują się stale wobec mnie tak ujmująco, że byłabym niwdzięczna, gdybym z ich uporu wyciągała niepochlebne dla nich wnioski. Ale trudno — nie mam już życia dla siebie i nigdy nie będę mogła żyć „prywatnie", jak długo służę mojej sztuce. To zresztą wynika konsekwentnie z toku wypadków i mojej egzystencji. Należymy do publiczności i czasem widownia daje nam to nieco przykro odczuć. Niestety, przeważnie nie rozumie cierpienia, które nam zadaje. Skłamałabym jednak twierdząc, że te dowody miłości są mi obojętne i że my artyści nie kochamy nawzajem „dziecka-publiczności", choć czasem jest rozpieszczone i zanadto wymagające.

Artysta nie jest nigdy tak szczęśliwy, jak ci, którzy darzą go oklaskami. Nie może się ich wyrzec, słuchacze zaś potrafią dzisiaj szaleć za jednym ideałem, a jutro o nim zapomnieć, niewiadomo dlaczego. Nowa gwiazda zaciemnia blask poprzedniej, której sława blednie.

Sztuka jest czemś niebotycznie wzniosłem. Nie mogę wyobrazić sobie mojej egzystencji, gdy nadejdzie czas, że nie będę mogła już śpiewać. Byłam szczęśliwsza od wielu innych i mogłam urzeczywistnić mój sen. Teraz pragnę tylko tego, aby trwał jak najdłużej — jak najdłużej!

Tym zaś, którzy pragną wkroczyć na tę ciężką i kuszącą drogę, życzę cierpliwości, odwagi i wytrwania. Mając zdolności i pracując z uporem, można zawsze swój cel osiągnąć. Niewątpliwie także szczęście jest potężnym czynnikiem, wpływającym na sukces. Ale nie sądzę, aby zawsze można się było zdać na dobrą wolę przypadku; szczęśliwy zbieg okoliczności sprzyja tylko tym, którzy wiedzą, do czego dążą i którzy zasługują na opiekę fortuny.

ON i ONA

W. BIAŁOWIEJSKA

Nowela odznaczona I. nagrodą w „Konkursie „Asa" na najlepszą nowelę"

— Panie asystencie! panie asystencie!

— Co się stało?

— Niech się pan przygotuje, aby zastąpić profesora przy operacji.

— Jakto zastąpić?

— Profesor nie chce operować!

Młoda, energiczna twarz asystenta ściągnęła się w ostry grymas.

— Dlaczego? Taka ciekawa i trudna operacja...

— Nie wiem. Zły i zdenerwowany dzisiaj. Przy obchodzie chorych grymasił, jak nigdy, a potem nagle powiedział, aby pana uprzedzić, bo on operować nie będzie.

— Psiakrew! Facet gotów się przejechać na tamten świat, wolałbym nie brać na siebie odpowiedzialności. Może się jeszcze namyśli?

— Powiedział wyraźnie i stanowczo „nie".

To samo „nie" powtarzał teraz w myśli profesor, chodząc po swoim gabinecie.

„Nawet nie powinienem — nie wolno mi, nie będę miał spokojnej ręki, nie opanuję nerwów".

Huknęło to w niego, jak piorun.

Że jego słodka, opanowana Nella, z którą spokojnie, po burżujsku był szczęśliwy, lubiła tego chłopca, który kręcił się często w jego domu, a był trochę artystą, trochę sportowcem — że kiedy zachorował ciężko — dowiadywała się o niego i posyłała do szpitala kwiaty, że się nawet niepokoiła — to wszystko przecież nie mogło nasunąć myśli, nie mogło mu nawet kazać trochę badawczem okiem obserwować zachowania się tych dwojga, którzy znali się tak dawno.

Nella nazywała go nawet czasem poufale Stefanem, traktowała trochę, jak postrzelonego młodzika, aż nagle...

I właśnie musiał się o tem dowiedzieć wczoraj, kiedy dziś miał precyzyjną operacją uratować zagrożone życie. Profesor Andrzej zatrzymał się w swojej szybkiej wędrówce. I takie to wszystko było jasne, takie banalne, takie sprofanowane we wszystkich powieściach, we wszystkich teatrach we wszystkich kinach.

Sto razy patrzył, jak się w podobnych scenach zgrywali najlepsi artyści, sto razy widział to na ekranie.

List, który się niespodzianie zabłąkał między jego listy, otwarty nieuważnie, bez zwrócenia uwagi na adres, a potem... Doktór wzdrygnął się nerwowo.

Wszystko ta takie podłe i głupie, że chwyta za gardło i dusi. Jego czysta, anielska, może nawet zbyt chłodna Nella!

„...Tak dawno już nie trzymałem cię w ramionach. Tęsknię do naszego małego mieszkanka. Twoje włosy, twoje gorące, nabrzmiałe pragnieniem wargi, prężące się do pocałunków". — Piekło.

„I ja miałbym tę elegancką kanalję dziś operować, aby uratować go dla tych namiętnych pocałunków", przeleciało przez myśl doktora, który poczuł, że dłonie jego pokrywają się zimnym potem.

Bo co tu obwijać w bawełnę! Od początku świata ludzie czynili zawsze to samo, zawsze dwa samce walczyły o samicę i zawsze pokrzywdzony cierpiał i starał się zemścić.

„Tylko, że pierwotny człowiek walił kamieniem napastnika, albo w ukryciu czatował, aby zwycięzcę chwycić za gardło, a ja puszczę niby przypadkiem arterję i chory dostanie krwotoku", — aż zatrząsł się cały od myśli, która przebiegła mu przez głowę.

Bezbronny chory. — Nie, niech robi asystent.

Młody jeszcze, a już sławny profesor osunął się na fotel i oparty o biurko, ukrył w dłoniach twarz, po której przebiegało nerwowe drżenie.

Wszystko przecież miał, wszystko mu się szczęściło w życiu — zazdrościli mu koledzy sławy i miłości pięknej kobiety.

Palce zacisnęły się kurczowo. Od wczoraj zrozumiał, że piekło istnieje nie po tamtej stronie, ale na ziemi.

O ileż naprawdę szczęśliwszy był człowiek pierwotny, niż on, kulturalny, który całą siłą woli się powstrzymywał, aby tej uśmiechniętej kobiety nie chwycić za białą szyję i nie spoliczkować tym listem, który tak spokojnie tkwił w jego kieszeni. Wyszedł dziś wcześnie, aby się nie potrzebować witać, ale przecież dziś znowu. .

Pięść doktora huknęła o blat biurka.

„Szaleję" — myślił, rzucając jednocześnie spokojne „proszę", ponieważ pukano do drzwi.

W drzwiach ukazał się asystent.

— Panie profesorze, czy pan profesor naprawdę?...

To taka ciekawa operacja. Przyszło tylu studentów... a ja, naprawdę, ja...

„Chłopca obleciał strach", pomyślał profesor Andrzej, odpowiedając jednocześnie głośno:

— Czuję się niezupełnie dobrze.

— Ale jednak wszyscy tak byliśmy ciekawi tej operacji, robionej przez pana.

„Przez tego smarkacza stracę sławę i szczęście", przemknęła, jak błyskawica myśl.

— Czy uprzedzić chorego o zmianie operatora?

— Tak!

— Chory tak bardzo pragnął być operowanym przez pana. Boję się, że go to przerazi.

„...Twoje gorące wargi, twoje złote włosy", czytał w myśli profesor słowa, które od wczoraj umiał napamięć.

— Więc powiedzieć choremu?

„...Tęsknię do naszego mieszkanka. Tak dawno nie miałem cię w ramionach".

Nagle profesor Andrzej podniósł schyloną głowę.

— Nie, niech pan nic nie mówi, nie potrzeba, ponieważ będę sam operował.

„Co ja robię, na co się właściwie zdecydowałem? To straszne, ale każdy broni się jak może. — Przecież to będzie zbrodnia. Tylko nie dać poznać po sobie", myślał gorączkowo profesor, myjąc ręce i wciągając gumowe rękawiczki. „Czego nie dać poznać po sobie? Boże!".

„Przecież ja nic nie postanowiłem. Będę operował, bo to mój obowiązek, bo muszę".

„Zbrodnia! Ale co to jest właściwie zbrodnia?".

Opanowany pozornie zupełnie, wchodził do sali.

Na stole biały kształt, okryty w prześcieradło, tylko powierzchnia brzucha świeci zdezynfekowaną, wymytą skórą. Na twarzy maska.

— Śpi, panie profesorze!

— Więc zaczynamy.

„Operacja jest naprawdę trudna, będę zupełnie bezpieczny — nawet gdyby"... pomyślał profesor, biorąc z rąk asystenta przygotowane narzędzia.

— — — — — — — — —

— Jaką jednak ten stary ma pewną rękę — zachwycano się w dwie godziny później w gronie studentów. Co za spokojne opanowane, opanowane i skoordynowane ruchy!

— Jaka zimna krew!

– Tnie jakby materję, nie ludzkie ciało, spokojnie niezbyt mało, ani zbyt wiele.

— Jednak w tym momencie, kiedy jak zwykle takim niedbałym, a pewnym ruchem (znacie ten ruch, kolego!) chwytał pensetą żyłę, widziałem ręka mu drgnęła, miałem wrażenie, że nie dokona tego chwytu w zwykły swój precyzyjny sposób.

— Możliwe, ale chciałbym kiedyś, tak, jak on operować.

W swoim gabinecie profesor Andrzej zmęczonym ruchem opadł na krzesło.

Czy to było przyzwyczajenie wieloletniej praktyki? czy poczucie sumienia? czy litość?

Nie wiedział, naprawdę, nie wiedział. Czuł tylko wielkie, szalone zmęczenie, które ogarniało go od nóg, dziwnie bezwładnych, aż do głowy, z której zda się uciekły wszystkie myśli, zmęczenie, które kazało mu tępym wzrokiem wpatrzyć się bezmyślnie przed siebie.

Skończone! Człowiek kulturalny zwyciężył swego pierwotnego brata. Już tylko nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć. Nie debatować, nie wgłębiać się, nie grzebać w tem kłębowisku. Znieść spokojnie ten tępy ból, który gdzieś w głębi dokucza i szarpie. Byle tylko nie ruszać się z miejsca, nie jechać do domu i nie patrzeć w te błękitne oczy Nelli.

— Panie profesorze, — głos pielęgniarki drżał z niepokoju — panie profesorze!

— Co takiego, przecież mówiłem, aby mi nie przeszkadzano! Zmęczony jestem.

— Ale kiedy ta pani chce się koniecznie widzieć. Tak błaga. To w sprawie operacji.

— Więc prosić.

Elegancka wysmukła postać wsunęła się już do gabinetu za białą pielęgniarką.

— Pan profesor mnie nie poznaje?

— Rzeczywiście! — Ach tak, już wiem!

Poznał w niej dawną, serdeczną przyjaciółkę żony, jeszcze z panieńskich czasów. Bywała u nich jednak tak rzadko.

— Panie profesorze, ja wiem, ja nie powinnam, ale ja już nie mogę, nie mogę dłużej! Musiałam...

— Nie rozumiem o co pani chodzi. Przepraszam, jestem dzisiaj wyjątkowo zmęczony.

— Nie, nie, to ja się tak źle tłumaczę, ale to tak trudno, — głos mówiącej się łamał, — ja rozumiem na co się narażam.

I nagle w ciszy gabinetu krzykiem prawie padło pytanie.

— Czy on będzie żył? Ale proszę powiedzieć prawdę, całą prawdę!

— Jaki on?...

— No, Stefan. Operował go pan przecież, Nella kazała mi czekać. Wczoraj nie było listu, obiecał napisać, tymczasem nic. Umieram z niepokoju, ja...

Podniosła głowę i nagle przerażone źrenice utkwiwszy w twarzy profesora — poczęła się cofać do drzwi.

— Dlaczego pan tak na mnie strasznie patrzy? Operacja się nie udała! Umarł!

Jednym skokiem profesor był przy drzwiach i chwycił cofającą się za ręce.

— Nie, przeciwnie, żyje, żyć będzie. Ale teraz ja panią błagam. Niech pani mówi, niech pani mówi na miłość Boską, tu też chodzi o życie. Stefan był pani kochankiem?

— Tak! — dał się słyszeć cichy, zdumiony szept.

— Kocha go pani?

Teraz podniosła oczy.

— Bardzo!

– A on?

Tym razem usta rozchylił uśmiech.

— Też bardzo.

Nie mogło tu być mowy o udawaniu, takim głosem mówi, tak patrzy tylko szczera prawda.

— List był pisany do pani, ale?..!

— Och Nella, była tak dobra, ona tak nas lubi, a ze Stefanem znają się od dzieci.

— — — — — — — — —

Doktór Andrzej przyniósł tego dnia żonie pęk kwiatów, a przy obiedzie sam zaproponował, że mogliby się wybrać jutro do kuśnierza, aby zobaczyć tę popielicową kurteczkę, o której w zeszłym tygodniu wspominała.

Pani Nella włożyła kwiaty do wazonu, uśmiechnęła się na wspomnienie kurteczki, a potem w zacisznym saloniku, w tej godzinie, którą mieli dla siebie przed rozpoczęciem przyjęć, siedząc na poręczy fotela, wyspowiadała męża.

I doktór Andrzej, czując, że mu jeszcze nigdy nie było tak dobrze i zacisznie, że człowiek pierwotny odszedł już od niego daleko i bezpowrotnie, opowiedział o tych koszmarnych godzinach, które były dla niego tak ciężkie.

Nim skończył, wysunęła się z objęć męża i stanęła oparta o fortepjan, rozszerzonemi oczami wpatrując się w opowiadającego.

— Gdym wchodził do sali operacyjnej, miałem mgłę przed oczami, a w sercu dziką żądzę zemsty i morderstwa.

— No i? — spytała z zapartym oddechem.

— Operacja się udała.

— Czy operując byłeś pewny, że cię zdradzam?

— Tak — doktór powoli wzniósł głowę i spojrzał na żonę. — Rozumiem, Nello, że czujesz się oburzona, że...

A wtedy z ust pani Nelli padły słowa:

— Myślałam jednak, że mnie bardziej kochasz!

MOJE POSĄGI

MASSIMO BONTEMPELLI

NOWELA

Przed wieloma laty, w Nowym Jorku, dostałem od pewnego miljardera, u którego bawiłem w gościnie, posąg Apollina, najzupełniej podobny do Apollina Belwederskiego: autentyk Leocharesa to właśnie mój posąg, a ten watykański to tylko doskonała kopja. Inny Amerykanin, którego wkrótce potem poznałem w San Francisco, a który nie chciał zostać wtyle za swoim ziomkiem, ofiarował mi Niobę wraz z czternaściorgiem dzieci.

W jakiś czas później kupiłem okazyjnie kondotjera z XV-go wieku, może Verrocchia: a jeszcze później, w jakiś rok albo w dwa lata po wojnie, burmistrz jednego z północnych miast włoskich (nie wymieniam jego nazwiska), z wdzięczności za wyratowanie mu podczas pożaru kilkorga dzieci, podarował mi ogromnego Humberta I w pozycji stojącej, którego to Humberta władze miejskie nie pozwoliły wystawić na widok publiczny i który musiał stać ukryty w jakimś magazynie. Posiadam również pisarza egipskiego, który mi przypadł w drodze spadku; a los wygrany na loterji przyniósł mi myśliwego, polującego na kozice i stojącego na skale ze strzelbą w ręce, dzieło autora nieznanego, ale wykonane z pewnością po roku 1880. Wszystkie te posągi są naturalnej wielkości z wyjątkiem posągów Apollina i Humberta I, które są znacznie większe. A ponieważ muszę je trzymać w moim pokoju, więc mi trochę zawadzają.

Nie wiem, przez jakie zrządzenie losu wszystkie moje posągi są z marmuru; wyjątek stanowi pisarz egipski, który jest z granitu, z bardzo jasnego granitu. Ciekawą rzeczą jest, że posągi moje zczasem stają się coraz bielsze, wskutek czego jeszcze bardziej mi zawadzają.

Mój pokój jest obszerny, ale te posągi zmieniły w zupełności jego proporcje. Szyja i głowa Apollina sterczą wysoko ponad półki z książkami. Ile razy wstaję od biurka i idę do pieca, żeby dorzucić drzewa, zapominam o wyciągniętych ramionach Nioby i uderzam o nie głową. Kondotjera na koniu musiałem ustawić przed fortepionem, na którym nie mogę już grać. Humbert I dotyka pióropuszem sufitu i wypełnia sobą całą tę przestrzeń, gdzie przedtem stała szafa na ubrania, która niewątpliwie była bardziej pożyteczna.

Myśliwy, polujący na kozice, jest pierw-

szym posągiem, na jaki się wpada, wchodząc do mnie. Listonosz, który przychodzi z listami poleconemi i czeka na potwierdzenie odbioru, zawiesza zawsze swoją czapkę na końcu opuszczonej strzelby myśliwego.

Odkąd mam w domu posągi, nikt już nie przychodzi odwiedzić mnie. Ludzie boją się. A przecież widzieli je tylko w dzień.

— — — — — — — — —

W dzień, w zwyczajnem świetle, posągi moje przybierają minę skupioną i obłudną. Wydają się nawet trochę mniejsze. Są twardsze i bardziej nieruchome. W nocy natura ich zrzuca z siebie wszelkie więzy. Zdaje mi się, że w dzień nie widzą nic. Ale w nocy, tak, w nocy widzą; tylko nie dostrzegają, zdaje się, ani mnie, ani rzeczy, które mnie otaczają. Patrzą zawsze albo powyżej albo poniżej mnie, chociaż ja jestem wpatrzony w ich oczy i szukam ich spojrzenia. Stoją w kontemplacji. W kontemplacji innych rzeczy, innych ludzi, innych istnień. Można pogawędzić z drzewem, z wodospadem, z fotelem; ale nie można zacząć rozmowy z posągiem. Dlatego wydają się nam nieruchome. Natomiast sądzę, że w nocy, kiedy widzę, to również i poruszają się; ale ich ruchy dokonują się w takich wymiarach, jakich my nie znamy: stąd ta zakłopotana wina wszystkich posągów w nocy.

Niemniej — mówię zawsze o nocy — sądzę, że mogę wywierać pewien wpływ na ich sposób zachowania się zależnie od światła, jakiem je oświetlam.

Kiedy zapalam trzy albo cztery lampy elektryczne, które znajdują się w rozmaitych punktach pokoju, natychmiast cała przestrzeń wypełnia się cieniami moich posągów. Pokój staje się większy, ale niewystarczający; usiłuje pomieścić je, ale one, cienie, nie czują się dobrze. Wdzierają się aż na ściany, układają się wzdłuż sufitu; nabrzmiewają i wyginają się w łuki; każdy z nich chciałby być sam i rzuca się wpoprzek innych; wszystkie przecinają się i plątają; kradną sobie wzajemnie drogę i swobodę. To współżycie gigantycznych cieni tłoczy się w walce głuchej, ale bezwzględnie nieruchomej, jak to się dzieje wówczas, kiedy splot ciał dwóch wielkich zapaśników w najdramatyczniejszych chwilach zapasów osiąga moment nieruchomości.

Wówczas w moim pokoju wszystko żyje tylko tą nadludzką, chytrą walką, która nigdy nie zostanie rozegrana, która zagarnia całą przestrzeń; to też dla mnie niema już wcale miejsca i muszę się kurczyć, raz tu, raz tam, na tych małych skrawkach, niezajętych przez cienie. Kiedy dla jakiejś przyczyny muszę przemknąć z jednego skrawka do drugiego, to chociaż skaczę lub pełzam najszybciej, jak tylko mogę, czuję na sobie ich czarne dotknięcie, które wchłonęłoby mnie, gdybym się tylko trochę ociągał. Dotknięcie to pozostawia mi na ciele wrażenie aksamitu, które napełnia mnie drżeniem.

Tymczasem moje posągi, z których cienie te biorą początek, usiłują powiększyć się, aby współzawodniczyć z niemi: czarna masa fortepianu znika poza koniem kondotjera z XV-go wieku; król Humbert I staje się bardziej jeszcze sztywny, a jego pióropusz przegina się, dotykając sufitu; ramiona Nioby wyglądają, jakgdyby chciały dosięgnąć strzelby myśliwego, połującego na kozice. Jedynie tylko mój kolega egipski zachował swoje wymiary, ale czoło jego wydaje się bardziej tępe i uparte. Płaszczyk Apollina wygląda, jak olbrzymi biały nietoperz.

W tych godzinach twarze wszystkich moich posągów promienieją i z pełnem zdziwienia zadowoleniem cieszą się głuchą walką cieni. Teraz nie mają już w sobie nic podstępnego. Wymowa ich twarzy jest wyraźna. Wyglądają jak ludzie, którzy oddychają po zaczadzeniu. Białość ich powleka się fioletowym nalotem, jakby ciemna krew wlewała się im w naskórek ciał — skoro tylko światło dnia ustępuje oświetleniu sztucznemu.

Wyciągnięte, ogromne cienie zdają się cierpieć z powodu tej zabawy.

Pewnej nocy, kiedy wydawało mi się, że cierpią więcej niż zazwyczaj, przeskoczyłem ostrożnie dwa razy trzy cienie, potem nagle zgasiłem światła i otworzyłem okno.

— — — — — — — — —

Znienacka ogarnął mnie straszliwy mróz. Była pełnia księżyca. Konstelacje wygasły na niebie: tylko na ostatnich krańcach firmamentu jakaś wyblakła gwiazda ukazała się — jakby prosząc o jałmużnę — a nikt jej nie odpędzał. Cały nieboskłon był bezkrwisty. Śmiertelne odrętwienie przebiegło przestrzeń i spłynęło na puste tarasy. W niezmąconym spokoju zatracał się świat, nieważki biały pyłek, spadły z dopełnionych tysiącleci na ziemię.

Odwróciłem się przerażony i spojrzałem na mój pokój. Drżenie moje zamarło nagle pod wpływem szalonego strachu, który zrodził się w mojem sercu. Białość księżyca ciążyła na bieli posągów, modelowała się wedle ich kształtów, zlewała się z twarzą każdego posągu, jak gdyby chodziło o zdjęcie maski. Ale posągi czuły się żywe, straszliwa zgroza wystąpiła z głębi na twarze, które już miały się wykrzywić i wołać pomocy, tylko że jeszcze nie mogły, jak to się zdarza, gdy się śpi na lewym boku. To trwało kilka sekund; potem zrozumiałem, że ten wysiłek ożywi je, że moje posągi napewno za chwilę zaczną się ruszać i mówić: wtedy rozpaczliwie przerwałem ich przerażenie i moje, wybuchając śmiechem i wołając głośno:

— Nie, nie, już dość, to przecież idjotyczne, coś jak gdyby z Don Juana, albo ze starej bajki, czy też baletu rosyjskiego; precz, precz; — i nagle zamknąłem okiennicę i pokój runął zgóry nadół w mrok i ciszę.

Czekałem bez ruchu, skulony w kącie. Czułem w ciemnościach obecność moich posągów. Ciemności były pełne posągów. Minęło jeszcze kilka sekund. Ciemności zaczęły nabrzmiewać równemi, regularnemi poruszeniami. Nie mogłem ich pojąć. Potem zrozumiałem. Moje posągi oddychały. Oddychały powoli, jak morze; a ciemność zbierała te oddechy w ciche drżenia, które jakby na brzeg docierały aż do mnie i uciskały mi serce, ściskały tak, że straciłem zmysły. Ocknąłem się, kiedy wokoło mnie zapanowała cisza. Świetlisty promień wdzierał się przez szparę w okiennicy i przecinał pokój. Wstałem, żeby zamknąć okiennicę, słońce już wzeszło. Moje posągi znowu przybrały wymiary normalne, a miny ich stały się podstępne, bez wyrazu, jak za dnia.

— — — — — — — — —

Nie wiem, jak się to skończy, jeżeli nie zapobiegnę tej sprawie. Wyznaję, że byłoby mi bardzo przyjemnie, gdyby moje posągi zdecydowały się ożyć. (Ciekaw jestem, czy i strzelba myśliwego byłaby prawdziwa i nabita). Gdyż wówczas poszłyby sobie, dziś czy jutro: wszystko, co żyje, odchodzi w pewnej chwili.

Ale nie liczę zbytnio na to, żeby ożyły, kto wie, jak długo trzebaby na to czekać: w każdym razie nie mogę już dłużej żyć w tym braku miejsca i w tem ciągłem przerażeniu. Mam zamiar pozbyć się moich posągów jak najprędzej i wszystko jedno jak.

Autoryzowany przekład Zofji Jachimeckiej.



Kreacja mody wieczorowej 1938, odznacza się nieskazitelną linją.
Fot. Imre von Santho

DWA



Rzeźba, zdobiąca wejście na Forum Mussoliniego w Rzymie.
Fot. E. Schäffer Kraków

POSĄGI



Na statkach zainstalowano w ostatnich latach wieżę radjową celem sygnalizowania pilotom położenia geograficznego.

Fale elektryczne jako środek leczniczy

Jest jeszcze wielu takich, którzy przyczynę kryzysu, wojen i innych nieszczęść nawiedzających ludzkość, upatrują w niezwykle szybkim rozwoju techniki. Tak jakby dawniej, w epoce zastoju techniki, kiedy wynalazek jakiś pojawiał się raz na dziesiątki lub nawet setki lat, ludzkość żyła bez wojny i bez katastrof! Ci pesymiści zapominają jednak o innej jeszcze rzeczy. Nie widzą oni zupełnie błogosławionej roli, jaką spełnia technika np. w medycynie. Kto zliczy tych wszystkich chorych, którzy zawdzięczają swoje wyzdrowienie i uratowanie życia tylko postępowi techniki Czyż można zapomnieć wreszcie o owych zabłąkanych w bezmiarze oceanu okrętach, dla których radjo jest ostatnią deską ratunku. A lotnicy! Jakżeby się czuli opuszczeni i samotni, zwłaszcza w czasie mgły lub nocy, gdyby ich nie prowadziła fala radjowa, dla której nietylko mgła ale zupełna ciemność, nie stanowi żadnej przeszkody. Nie mówimy już o tem nawet, że jeżeli dany obszar na powierzchni ziemi potrafi dzisiaj wyżywić kilkakroć większą ilość ludzi niż dawniej, to jest to jedynie zasługą techniki. Pozostańmy jednak przy temacie wyżej zakreślonym, tj. pomówmy o roli fali elektromagnetycznej jako drogowskazie dla zbłąkanych i lekarzu chorych.

Jest to naprawdę dziwny zbieg okoliczności, choć nie jedyny, że niektóre fale elektromagnetyczne mają doniosłe znaczenie w technice i równocześnie w medycynie. Stosunkowo najbardziej znanym rodzajem tych fal są fale promieniowania Röntgena. Promienie te są dzisiaj, jak wiadomo, w medycynie jednym z najcenniejszych środków do walki z chorobami. Zarazem jednak oddają promienie Röntgena nieocenione usługi w technice, np. w poznawaniu wad rozmaitych materjałów, w metaloznawstwie itd., nie mówiąc już o roli ich w nauce np. przy badaniach budowy kryształów.

W artykule niniejszym pomówimy nie o promieniach Röntgena, ale o mniej znanych „krewnych" tychże promieni. Są to mianowicie tzw. fale ultrakrótkie, których długość waha się od około 12 m do kilku cm. W gamie drgań elektromagnetycznych, fale krótkie obejmują dziedzinę między tzw. falami elektrycznemi i radjowemi a tzw. falami cieplnemi, będącemi jeszcze krótszemi. Po falach cieplnych, infraczerwonych, przychodzi kolej na stosunkowo wąski pas fal promieni światła widzialnego od czerwonych do fioletowych. Im krótsza fala, tem mamy dalej kolejno ultrafiolkowe fale (już niewidzialne), potem promienie Röntgena i gamma a wreszcie najkrótsze fale promieni kosmicznych, przychodzących do nas z przestrzeni międzygwiezdnej.

Pobieżne wyliczenie tego powinowactwa fal ultrakrótkich wskazuje na to, że są one stosunkowo bardzo zbliżone do fal radjowych. I rzeczywiście w ostatnim czasie coraz częściej radjo obok fal krótkich o długości od 80 do 12 m zaczyna także się posługiwać do niektórych celów temi ultrakrótkiemi falami.

Czem się te fale ultrakrótkie właściwie odznaczają? Cechuje je to, że nie odbijają się jak inne fale radjowe o tzw. „jonosferę", tzn. o bardzo wysoko położoną warstwę zjonizowanego powietrza przewodzącego elektryczność, która to „jonosfera" przyczynia się do tego, że zasięg fal radjowych obejmuje tak wielką przestrzeń na powierzchni ziemi. Prócz tego część fal ultrakrótkich, posuwająca się w pobliżu ziemi ulega szybkiemu pochłonięciu, tak że zasięg działania tych fal ogranicza się do kilkudziesięciu km. Jeżeli się więc chce, aby fale te rozchodziły się dalej, to wznosić należy wysokie anteny dochodzące do 50 m. Ale za to łatwo jest nadać tym falom kierunek i odpowiednio zbudowana antena działa tu jak reflektor wysyłający światło w jednym określonym kierunku. Ale te reflektory fal ultrakrótkich czyli ściślej mówiąc kierunkowe anteny, mają dużą przewagę nad zwykłemi reflektorami. Wysyłają one bowiem promienie ultrakrótkie, które przenikają mgłę i ciemności i w odróżnieniu od zwykłych fal radjowych nie podlegają tak zakłóceniom i przeszkodom atmosferycznym ani też wahaniom w różnych porach dnia i nocy. Jest to więc coś lepszego jak fale radjowe i zarazem doskonalszego niżeli promienie światła zwyczajnego choćby z najlepszego reflektora pochodzące. I to właśnie promieniowanie jest cenną pomocą lotników, szukających portu lotniczego podczas mgły, za- [illegible] ciemnej nocy. Ilość katastrof lotniczych byłaby stokrotnie większa, gdyby nie to promieniowanie ultrakrótkie.

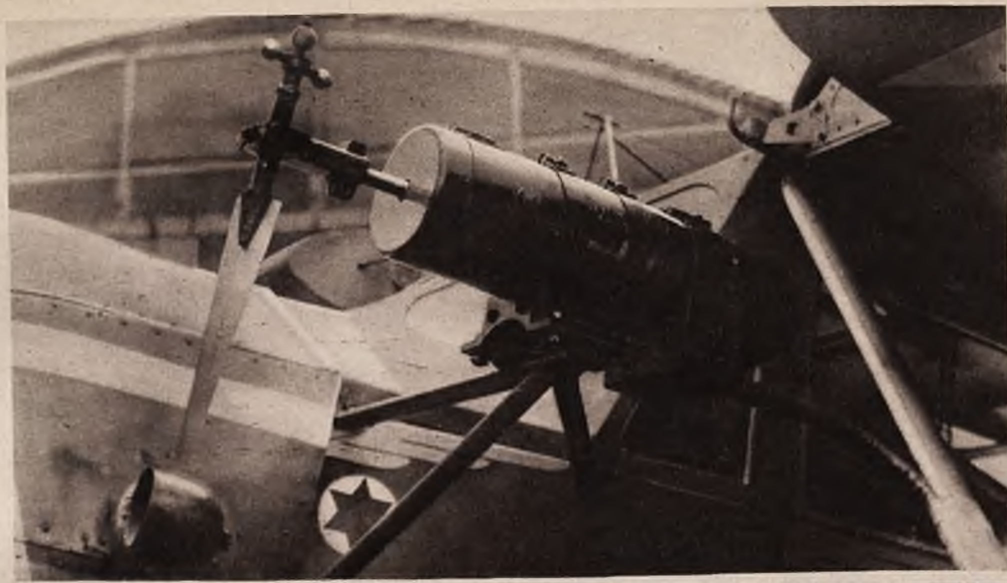
Prawie w każdym większym porcie lotniczym znajdują się dziś aparaty wysyłające promieniowanie ultrakrótkie. Jedna antena tego aparatu wysyła np. sygnały w postaci impulsów tzw. punktowych, druga zaś wysyła sygnały również przerywane, ale już dłuższe a więc powiedzmy „linjowe" (porównaj np. kropki i kreski w alfabecie Morsego). Promieniowanie anteny punktowej obejmuje powiedzmy lewą część lotniska. To znaczy, że z lewej strony dochodzą do specjalnego odbiornika radjowego, znajdującego się w samolocie, same sygnały punktowe a z prawej same sygnały linjowe. W pewnem jednak miejscu przecinają się te dwie strefy i tam znajduje się płaszczyzna pionowa, do której dochodzą zarówno sygnały punktowe jak i linjowe. Sygnały linjowe są poprzedzielane przerwami, w których antena linjowa nie działa. Natomiast w tych właśnie króciutkich przerwach działa antena punktowa. W miejscu więc, dokąd dochodzą jedne i drugie sygnały tj. w owej płaszczyź-



W kole: Ogromne usługi oddaje pilotom radjo w orjentowaniu się co do kierunku lotu, zwłaszcza w czasie zawieruchy i mgły.

Poniżej: W awionetkach francuskich zaprowadzono instalację na krótkie fale dla porozumiewania się z wieżą Eiffla, gdzie mieści się radjowa stacja nadawcza.





Pierwszy samolot francuski porozumiewający się z wieżą Eiffla zapomocą fal krótkich.



Na prawo: Ultrakrótkofalowy aparat „Novotherm" jest w współczesnej medycynie skutecznym środkiem leczniczym.

nie pionowej przecięcia słychać wzgl. odbiera się już nie linje ani punkty tylko nieprzerwany sygnał i przez to ta płaszczyzna wyróżnia się od całego otoczenia. Otóż te dwie anteny ustawia się tak, aby ta płaszczyzna wyznaczała kierunek lotu dla zbliżającego się samolotu. Pilot w swojej kabinie ma prócz zwykłego odbiornika radjowego specjalny odbiornik na te fale ultrakrótkie i to zarówno głosowe jak i optyczne. Gdy zbliża się do lotniska samolot, specjalny sygnał przerywany skierowuje go ku polu działania obu anten. Wreszcie pilot znajduje się w tzw. płaszczyźnie przecięcia, czyli na linji kierunkowej, tak że samolot leci teraz wprost na lotnisko w kierunku podanym przez port lotniczy. Wówczas pilot obniża swój lot do wysokości 200 m i leci dalej w tej samej linji. Gdy znajduje się już w odległości 3 km otrzymuje sygnał wlotu, przyczem na tablicy odbiornika ultrakrótkiego zaświeca się czerwone światełko. Dzieje się to pod działaniem innej specjalnej anteny, dla lotnika jest to znak, że ma rozpocząć lądowanie i stłumić motor. Za kilkadziesiąt sekund zaświeca się na odbiorniku żarówka zielona. Jest to znak, że odległość od lotniska wynosi już tylko 300 m. Już po kilku sekundach samolot siada, ale nawet wtedy, gdy już znajduje się na ziemi, jeszcze ciągle działa ultrakrótki odbiornik i pilot może się dokładnie orjentować według tej samej wskazówki na odbiorniku czy samolot porusza się we właściwym kierunku.

Prócz urządzenia dla lądowania, zainstalowane są w niektórych krajach specjalne aparaty nadawcze ultrakrótkie dla tzw. nawigacji strefowej. Aparaty te oparte są na zupełnie tej samej zasadzie co wyżej wspomniany aparat o dwu antenach. Przy nawigacji strefowej idzie o to, aby samolot już w odległości kilkuset km miał podaną dokładną linję lotu. Innemi słowy taki aparat wyznacza dla lotnika jakgdyby niematerjalny tor, po którym się ma poruszać. Szczególnie jest to ważne tam, gdzie przestrzenie są duże i gdzie jest łatwo zbłądzić. Np. znajduje się sieć taka w Stanach Zjednoczonych, w krajach tropikalnych, w Australji itd. Zgodnie z tem, co już wyżej powiedzieliśmy, anteny dla fal ultrakrótkich, aby otrzymać taki zasięg, muszą być umieszczone bardzo wysoko, najczęściej na drewnianych wieżach o wysokości 30 do 50 m. Tak więc w dzień i w noc, bez względu na zaburzenia atmosferyczne, mgły, deszcze itd., pracuje niezawodny przewodnik działający pewnie i dający pilotowi poczucie bezpieczeństwa i tak ważny dla niego spokój nerwowy.

Kto wie jednak, czy znaczenie fal ultrakrótkich nie jest większe w innej dziedzinie a mianowicie w lecznictwie. Już oddawna znano zastosowanie fal elektromagnetycznych w medycynie. (Przypominamy, że pomijamy tu zupełnie promienie Röntgena). Tak np. każdy już słyszał o diatermji. Diatermja polega właśnie na zastosowaniu szybko zmiennego prądu elektrycznego, którego okres odpowiada długości fal około 300 do 1000 m. Dzięki tej wielkiej częstotliwości te fale właśnie nie elektryzują a więc nie wywierają jakiegoś działania na nerwy, i powodują tylko ogrzewanie. Umożliwiając intensywne nagrzewanie głębiej położonych partji ciała, powodują przyspieszenie procesów gojenia się i temu właśnie zawdzięczają swoje zastosowanie w terapji.

O wiele donioślejsze jest znaczenie fal ultrakrótkich.

Kilku uczonych jak np. Schliephacke i Esau przekonało się, że promienie te leczą rozmaite schorzenia skórne, furunkuły, nawet w ciężkich przypadkach, które dawniej powodowały śmierć. Nieocenione usługi oddają te promienie w przypadkach migreny, reumatyzmu, katarów nosa, stanów zapalnych. Można powiedzieć, że dzisiaj próbuje się najcięższe przypadki chorobowe leczyć temi promieniami np. schorzenia mózgu, serca, płuc, wątroby itd. Stały się one „uniwersalnym" środkiem leczniczym. Tak np. włoski docent dr. Ariggo Colarizzi opowiada o dobrych wynikach osiągniętych przy chorobie Heine Medina. Inny znów pisze o rezultatach wzbudzenia sztucznie gorączki przy paraliżu postępowym.

Ponieważ działanie tych promieni w odróżnieniu od diatermji nie jest zależne od bezpośredniego dotykania elektrody, albowiem mamy tu raczej do czynienia z działaniem na odległość tzw. pola elektrycznego, przeto mamy właściwie już urzeczywistnioną utopję o leczeniu na odległość. Wyobraźmy sobie, że lekarz z centralnego zakładu leczniczego będzie wysyłał te promienie ultrakrótkie a pacjent, który zamierza z promieni tych korzystać, ma tylko zbliżyć do chorej części swego ciała metaliczny okład, skupiający te promienie, aby już z nich korzystać. Dzisiaj jednak przeważnie stosuje się aparaty do lecznictwa ultrakrótkiego o słabszej mocy, których energja wynosi niewiele wolt. Najczęściej chorą część ciała umieszcza się między płytami kondensatora. Wprawny i dobrze wyszkolony lekarz potrafi aparat tak wyregulować i ustawić oraz użyć fal takiej określonej długości, że działanie jego obejmuje tylko tę część ciała, np. wrzód, choćby najbardziej ukryty wewnątrz organizmu, który wymaga leczenia.

Co do przyczyny działania tych fal to są różne hipotezy. Jedni przypisywali je wyłącznie nagrzewaniu. Inni doszukiwali się jakiegoś specyficznie elektrycznego działania. Dużo przemawia za teorją tłumaczącą działania tych fal tem, że przechodzą one bez przeszkód nietylko przez dobre przewodniki elektryczności, ale także i przez powietrze i inne złe przewodniki. Dzięki temu przenikają one poprzez błony komórkowe w tkankach organizmu i dostają się do wnętrza tych komórek, tam powodując działanie lecznicze. Taksamo mogą one przedostać się przez izolujący pancerz otaczający bakterje i uśmiercać te bakterje. Jakakolwiek byłaby przyczyna działania leczniczego promieni ultrakrótkich, to w każdym razie działanie to nie ulega wątpliwości. Ci uczeni, którzy wyciągnęli odpowiednie wnioski z tego, że personal stacji wysyłających fale ultrakrótkie zapadał na zdrowiu i czuł się nieswojo, a więc domyślali się jakiegoś szczególnego wpływu tych fal na organizm, ogromnie przysłużyli się ludzkości.

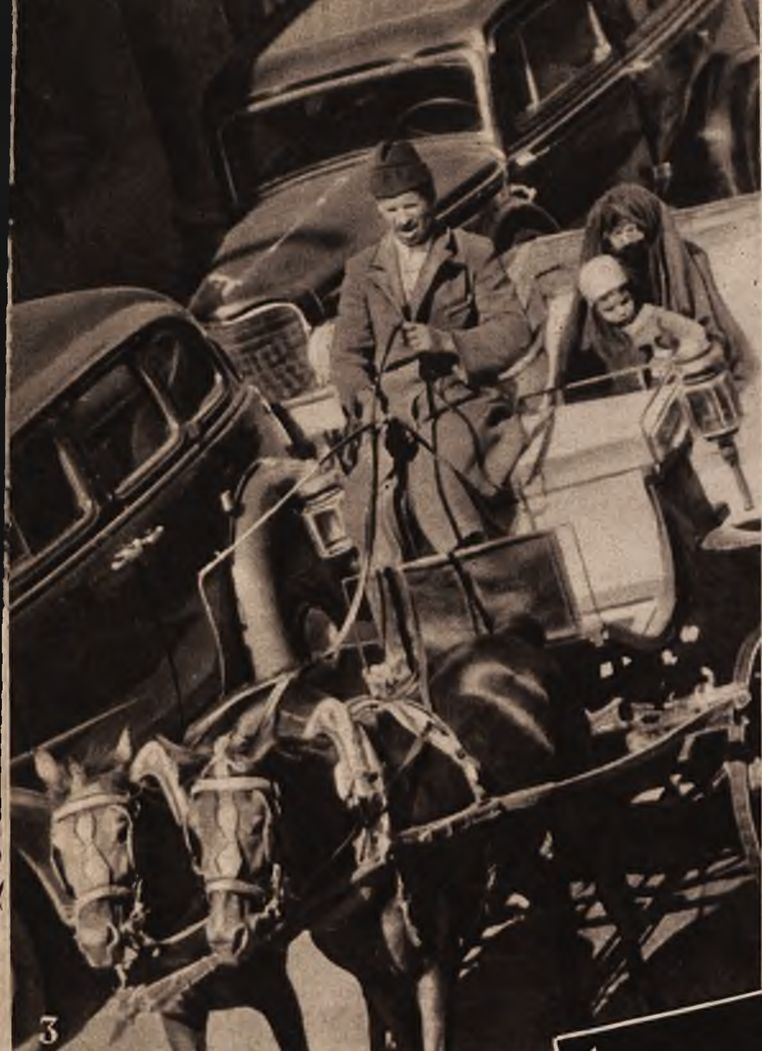
Inż. A. J.

Poniżej: Również spadochronowcy zaopatrują się w mały, krótkofalowy aparat nadawczy, zapomocą którego mogą się porozumiewać podczas spadania.



ILE BANANÓW WART JEST PAŃSKI KRAWAT?

Grymasy kryzysu ekonomicznego



3



4

Powyżej: Za kwotę, którą w Bagdadzie płaci się za szklankę piwa (3), można także wynająć na całą godzinę wygodny powóz (4).

Dla człowieka, któryby otrzymał wizy do wszystkich państw europejskich i zamorskich z równoczesnem zwolnieniem z rygoru przepisów dewizowych — podróżowanie w obecnych czasach byłoby znacznie ciekawsze, niż dawniej. Mury celne, hasła autarkiczne i ów kierunek dośrodkowego rozwoju, tak typowy dla wielu państw w Europie — sprawiły, że kraje różnią się dziś od siebie znacznie więcej, niż przed wojną. Jakaż leży przepaść pomiędzy Francją a Niemcami lub pomiędzy ZSRR a Portugalją! Przed wojną wszędzie było podobnie; robotnik w Austrji zarabiał mniejwięcej tyle samo, co w Anglji — butelka piwa w Berlinie kosztowała tylesamo co w Konstantynopolu.

Obecnie wyrównanie, owo „zglajchszaltowanie" odbywa się wyłącznie w granicach państw, podczas gdy różnice dzielące narody stale rosną. Państwa stają się induwidualistami a czasem nawet oryginałami, czy dziwakami. Tylko obywatelowi nie wolno być oryginałem i musi upodabniać się do reszty społeczeństwa.

Na tem tle powstało w czasach powojennych wiele paradoksów. Rzeczy utraciły swą wartość rzeczywistą, objektywną i cena ich zależy poprostu od szerokości geograficznej.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu: w Krakowie dobry jedwabny krawat kosztuje od 7 do 15 zł. Przeliczmy ten krawat na banany: jeden banan wypada przeciętnie na 1.20 zł., czyli, że u nas jedwabny krawat równa się około dwunastu bananom. Gdy weźmiemy tę samą proporcję: jedwabny krawat a banany w Brazylji, to przekonamy się, że po tamtej stronie morza trzeba aż 400 bananów na jedną krawatkę!

Pofantazujmy jeszcze na tematy ekonomiczne. Zamieńmy teraz dla odmiany dorożkę na piwo i zbadajmy jak ta dziwaczna proporcja kształtuje się w różnych państwach. W Krakowie godzinny kurs dorożką konną kosztuje 3.20 zł. Za tę cenę możemy wypić 9 szklanek piwa. Czyli innemi słowy godzina jazdy dorożką równa się 9 małym piwom. W Bagdadzie jednak proporcja piwo i koń wygląda zgoła odmiennie. Za tę cenę, co płacimy za szklankę piwa, możemy jeździć po mieście dwukonnym pojazdem przez godzinę. Praca człowieka i zwierzęcia w Bagdadzie przedstawia minimalną wartość.

Czy sądzicie, że są to drobiazgi? Układ tych proporcyj, to treść codziennego życia. Wszystko zależy od tych stosunków wartości: stopa życiowa, możliwości, plany na przyszłość, marzenia.

Nie dotknęliśmy jeszcze najbardziej znamiennej proporcji, którą jest wartość ludzkiej pracy. Chiński kulis nie ma żadnych pragnień, nie ma marzeń ani planów, gdyż musi pracować cały dzień, aby zarobić na kawałek suszonej ryby i garść ryżu; tylko tyle, aby nie umrzeć — sytość jest rzadkiem zjawiskiem w jego życiu. Wykwalifikowany robotnik szwajcarski zarabia około 300 franków szwajcarskich miesięcznie. Stać go na wszystko. Mieszka więc w miłem dwu, czy trzy-pokojowem wnętrzu, prenumeruje pisma, uprawia sporty itd.

Wartość tych samych mięśni i rąk jest bardzo różną, zależnie od kraju. I to może jest najsmutniejsze wśród tych paradoksów ekonomicznych. Możnaby przeboleć różnice w relacjach krawatki do bananów, czy piwa do dorożki konnej, lecz smutną jest prawda o proporcji pomiędzy wysiłkiem ludzkim a... szczęściem. W Stanach Zjednoczonych w czasach wielkiej prosperity można było wymienić pracę mięśni czy mózgu za wielką ilość dolarów. — A za dolary można było kupić wszystko, czego dusza zapragnie. Nic też dziwnego, że z całego świata ciągnęli ludzie do tej ziemi obiecanej. Dziś i tam zwężyły się horyzonty i coraz mniej dolarów otrzymuje się za wysiłek ludzki. Oto są grymasy ekonomicznych kryzysów, które człowiek współczesny nie zawsze umie przemienić w uśmiechy...

Mr.



1

Poniżej [illegible] -ckich Z powodu [illegible] -h płaci ceł ochronn[illegible] aż 50 się w Braz[illegible] -dwab- milrejsów [illegible]), za taną krawatk[illegible] kupić ką cenę m[illegible] ba- tam aż 400 [illegible] -jących nanów, stan[illegible] -ky (2). produkt kra[illegible]



2



5



6

Powyżej Praca rąk nie wszędzie wynagradzana jest jednako: gdy w Szwajcarji wykwalifikowany robotnik zarabia na godzinę 1.20 fr. szw. (5), to w sąsiedniej Italji przeciętna płaca na godzinę takiegoż robotnika wynosi zaledwie 3 liry, t. j. właśnie połowę (6).

Wywiad z Aniołkiem

We wilję Wilji znalazłem na biurku list tej treści:

„Drogi Redaktorze! W tym roku nie będę mógł przyjąć Cię, tak jak to było przed ostatnią gwiazdką. Jeśli masz jednak ochotę porozmawiać ze mną, to bądź u siebie we Wigilję rano.

Aniołek — referent podarunkowy".

Rzecz jasna (nie tak jak obecna sytuacja polityczna), że oczekiwałem na miłego gościa z niecierpliwością. Jako namiętny filatelista siedziałem przy stole oglądając znaczki w albumie, gdy w tem usłyszałem szum skrzydeł: był to tenże sam aniołek, z którym rozmawiałem rok temu; zmęczony zapewne daleką drogą zajął miejsce w fotelu stojącym obok.

— Jakże się cieszę, że widzimy się znowu — zawołałem — co słychać w Niebie i na szerokim świecie?

Dłuższą chwilę czekałem na odpowiedź i zauważyłem wtedy, że twarzyczka aniołka nie jest już tak wesoła jak dawniej, a oczy są wilgotne od łez.

— Źle słychać, zwłaszcza u was; czy nie słyszysz jak huczą armaty w Hiszpanji i w Chinach, w Sowietach salwy egzekucyjne, w Polsce szumi woda, przepraszam, krew książęca mieszając się ze semicką, słychać jak szeleszczą liście niezasłużonych



Obiecałem mu, że dostanie nowy kajak...



Jako namiętny filatelista...

— Niestety. Mało kto był zadowolony, ale żeby teraz wszystko było jak należy, wołałem się każdego zgóry spytać na co ma ochotę.

— To był rzeczywiście dobry pomysł — przytaknąłem.

— Ale często niemożliwy do wykonania — wtrącił Aniołek. — Pomyśl sobie: Sieroszewski oświadczył mi, że chciałby choć raz jeszcze napisać coś oryginalnego!

— To zaiste bardzo trudne dla wielu akademików — pomyślałem. — A czego pragnął Pan Prezydent?

— Takiej władzy jak Mussolini.

— A Mussolini?

— Ten już sam nie wiedział czego ma chcieć; król Jerzy VI był skromniejszy, wystarczy mu tylko dobry linguaphone.

— ? ? ?

— Żeby płynniej mówił po angielsku!

— A pięcioraczki Kanadyjskie?

— Błagały mnie żebym ich mamusi przyniósł na gwiazdkę conajmniej sześcioraczki; mają już dość popularności!

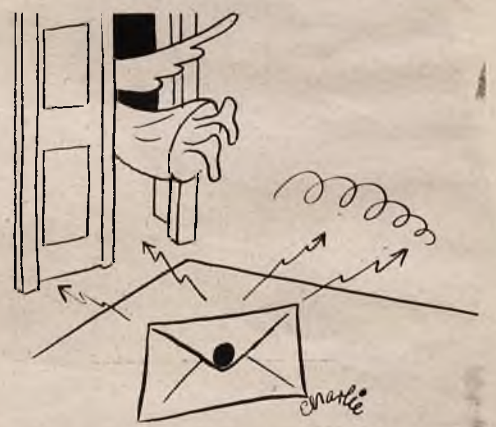
— To muszą być mądre dzieci — zauważyłem. — Czy byłeś u Stalina?

— Nie dopuszczono mnie! Warta oświadczyła, że Stalin sam jest aniołem, więc to musi być mistyfikacja i gdy chciano mnie zaaresztować musiałem się sam przemienić — oczywiście w Stalina by uniknąć egzekucji.

— Trzeba było wtedy spłatać jakiegoś dobrego figla! Nieprawdaż?

— Ma się rozumieć, że wykorzystałem tę okazję, ale cokolwiek inaczej. Udałem się między lud rosyjski i pytałem co chce otrzymać w dzień Bożego Narodzenia: „O wszechwładny — odpowiedziano mi. — Czyś nie zakazał nam mieć jakichkolwiek pragnień i marzeń, jeśli zaś wolno nam powiedzieć, to wiedz że chcemy abyś sam nareszcie został carem! (w myśli zaś dodawali — bo wtedy łatwiej będzie z tobą skończyć!)

Potem udałem się do Stalina i spytałem go: „Jak się masz, bracie?" — Widząc swego sobowtóra, odrzekł blady jak ściana: „Mam całą Rosję w swej mocy, ale nie mam brata — kimże więc jesteś?" „Zgadnij" odpowiedziałem. Wziął mnie oczywiście za złego ducha i rzucił się do mych nóg wołając strasznym głosem: „Daruj mi życie!" „Dobrze — odpowiedziałem — widzę, że o to szczerze prosisz, ale jeśli się nie zmienisz to wezmę cię ze sobą za rok!"



Spostrzegłem tylko pozostawiony list...

wawrzynów, jak Składek woła o sławojki, pardon, Sławoj o składki.

— No, nie jest znów tak źle — przerwałem. — Przecież hasło „jednoczmy się" wygłaszają naraz przedstawiciele trzynastu różnych stronnictw, możemy nareszcie powiedzieć, że na uniwersytetach każdy jest na swojem miejscu, że nowa ortografja jeszcze się nie przyjęła, a co najważniejsze, że w całej środkowej Europie nikt nie ma pieniędzy na prowadzenie wojny.

— Tylko bez przesady. Gdy Hitler powie „Schacht, mach Geld!", to szach-mach i djabeł wie skąd biorą się kapitały na manewry i mundury (czytaj tanki i trujące gazy).

Przestańmy mówić o takich przykrych sprawach, przerwałem znowu, chciałbym się dowiedzieć czy te śliczne podarunki, które rozdałeś rok temu przydały się obdarowanym.



Gdy Hitler powie: „Schacht, mach Geld!"...

To mówiąc zniknąłem, a władca Z. S. S. R. powstał i zadumał się. Podsłuchujący przez dziurkę od klucza zausznicy (może stąd pochodzi to słowo) mówili do siebie: „stanie się coś okropnego, Stalin myśli". Jeszcze większe było ich zdumienie, gdy drzwi się otwarły i władca rzekł: „Ułaskawiam wszystkich podejrzanych politycznie!". Zapadła głęboka cisza i ktoś odezwał się tylko szeptem: „A któż nie był jeszcze podejrzany?".

— To była rzeczywiście pierwszorzędna przygoda — zauważyłem. — No tak, kochany Aniołku, ale byłeś zapewne także u maluczkich, odwiedziłeś z pewnością i sportowców polskich?

— O tak, złożyłem wizytę kapitanowi polskich wioślarzy. Nie wiem zresztą skąd mu się wzięła taka ranga, a skoro dowodzi nie więcej jak nad czterema zawodnikami wiosłującemi na skiffie

(Dokończenie na str. 23-ciej)

FERDYNAND RUSZCZYC ARTYSTA I CZŁOWIEK (1870—1936)

Miałem sposobność zbliżyć się do osobistości znakomitego artysty w życiu dwukrotnie. Pierwszy raz w przedwojennem Wilnie, gdy na ubożuchną letnią wileńską scenę wniósł majestat poezji Słowackiego, inscenizując „Lilę Wenedę" i gdy z malarskim swym talentem wstąpił na polską scenę jako reformator teatru, by rozpocząć walkę o uartystycznienie starej, banalnej, kulisowej sceny.

Drugi zaś raz w poważnym dziejowym momencie w sierpniowych dniach 1920 r., gdy śp. prof. Ferdynand Ruszczyc zgłosił się jako ochotnik do wojska polskiego w szarym mundurze szeregowca, by złożyć w ofierze swój wielki talent dla dobra polskiego wojska.

W tym pięknym człowieku harmonizowała cielesna powłoka z głębokiem uduchowieniem. Przez pryzmat duszy artysty filtrowała się rzeczywistość i komponowała w wizjach malarskich.

Świat barw Ruszczyca mieni się kontrastami czystych kolorów i żyje własnem życiem.

Piękna postać Ruszczyca harmonizowała z bogatą treścią i podobnie jak każda jego forma artystyczna miała swą bogatą treść.

Dynamizm życiowy artysty wyładowywał się bujnie na różnorodnych odcinkach życia artystycznego i wypowiadał się nietylko w malarstwie sztalugowem, lecz również w inscenizacjach teatralnych, w zakresie grafiki ilustracyjnej i plakatowej, w inscenizacjach wieczorów literackich, uroczystości i obrzędów.

Malarski stosunek Ruszczyca do rzeczywistości wyraża się w syntezie kompozycyjnej i w lirycznej zadumie, wyłaniającej się z impresjonistycznego pejzażu, którego motywem był skrawek rzeczywistości.

„Ziemia", „Ballada", „Nec mergitur", „Młyn", „Wychodźcy", „Bajka zimowa", „Pokój babuni", to nie suche wycinki rzeczywistości, lecz przepojone głębokiem uczuciem wizje, uduchowieniem swem sublimujące i tworzące nastrój, który nadaje kompozycji własne tajemnicze życie.



Śp. Ferdynand Ruszczyc.



„Blade słońce" — obraz olejny.



„Ziemia", 1898 r.

Ferdynand Ruszczyc jako malarz z epoki Böcklina, Klimta, Stucka, przeżywa polski pejzaż w malarski sposób z sentymentem pokrewnym szopenowskim preludjum. Twórczość Ruszczyca uduchowiła na swój sposób „formalność akademicką" impresjonizmu gorącem umiłowaniem tematu, a malarstwo jego stało się tajemniczem pismem, użytem dla przedstawienia poetycznej wizji malarskiej.

Płodność tego wielkiego artysty była olbrzymia. Dzięki poszukiwaniom, dokonanym przez przyjaciela artysty, utalentowanego fotografika polskiego Jana Bułhaka, dowiadujemy się, iż spuścizna po wielkim artyście obejmuje 514 pozycyj prac plastycznych, w tem 355 obrazów i szkiców tak wykończonych, że można je nazwać obrazami, 52 książki ilustrowane, lub zdobione, 12 inscenizacyj widowiskowych, 36 plakatów i programów, 15 medali, pieczęci i sztandarów i wreszcie 44 prac rysunkowych.

Wystawa urządzona obecnie w krakowskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych obejmuje 360 dzieł artysty i pozwala zapoznać się dokładnie z twórczością Ferdynanda Ruszczyca.

Były to czasy młodej Polski, kiedy to za wzorem Waltera Craine'a i Johna Ruskina Stanisław Wyspiański przepajał życie aromatem sztuki.

Ferdynand Ruszczyc to renesansowy twórca, posiadający prócz wielostronnego talentu bogatą osobowość i rozrzutny temperament artystyczny, pozwalający rozsiewać brylantowe błyski talentu na różnorodnych polach.

Twórca działał zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie, gdzie piastował katedrę malarstwa. Z wszystkich jednak miast polskich najbardziej ukochał swe ojczyste Wilno, któremu poświęcił niemal całe życie. Temu miłemu miastu ofiarował ostatnią bujną epokę swego życia, przyczyniając się nietylko do sprawy restytucji uniwersytetu wileńskiego, ale i do wprowadzenia katedry malarstwa i architektury. Ruszczyc pełnił swą misję wychowawcy narodu nietylko twórczą pracą, ale i nauczycielską, wychowawczą, organizacyjną, redakcyjną, a nawet polityczną, był nietylko przez sześć lat radnym miejskim, ale i w 1922 r. posłem na sejm wileński, a później dziekanem uniwersytetu imienia Stefana Batorego. Życie i dzieła Ruszczyca to bogate ogniwo, łączące wielką barokową wileńską tradycję z duchem współczesnej mu epoki. Dla miasta swego był prawdziwym „genius loci", organizującym artystyczne życie w współczesnej formie.

Ferdynand Ruszczyc to nietylko twórcza siła, to nietylko artysta-malarz, ale przedewszystkiem wielki obywatel swej Ojczyzny, który pojmował swe życie jako spełnienie misji artystycznej i kulturalnej w swem społeczeństwie.

Dzieła tego chlubnie dokonał, zyskując wdzięczność współczesnych.

M. Dienstl-Dąbrowa.



„Bajka zimowa", 1904 r.

JAN MALESZEWSKI Kaktusy N·O·W·E·L·A

Dom profesora Rollanda położony był w staroświeckiej, przez współczesne życie jakby zapomnianej dzielnicy Paryża. Zapuszczony, od lat nie dotknięty grabiami czy łopatą, ogród, długi mały budynek o szklanym dachu, służący za oranżerję, wkońcu kilka mniejszych pawilonów, skleconych byle jak, stanowiły całe królestwo słynnego uczonego, którego nazwisko figurowało na spisach honorowych członków najwybitniejszych towarzystw naukowych świata i zaszczycone było kilkakrotnie stopniem doktora h. c. różnych uniwersytetów europejskich i amerykańskich. Gdyby nie te niezaprzeczone dowody uczoności profesora Rollanda, można by było wziąć go za zdziwaczałego, starego kawalera, hołdującego jednej manji z tem większym uporem, że odznaczała się ona dużą oryginalnością: prof. Rolland świata nie widział poza swemi ukochanymi kaktusami. Już jako profesor botaniki na uniwersytecie paryskim zwrócił na siebie uwagę swemi teorjami o kaktusach. Stwierdził, że żadna roślina nie posiada tej łatwości, żeby się tak wyrazić „prestidigitatorskiej", co właśnie kaktus. Zapomocą sztucznej hodowli, licznych eksperymentów i nader uciążliwych szczepień zdołał wielki uczony wyprowadzić nowe gatunki kaktusów, posiadające zasadnicze cechy swej „rasy" a odznaczające się równocześnie właściwościami innych, przeszczepionych na nie roślin. Z tych kombinacyj, które podobnie jak uczony ks. Mendel, prof. Rolland przeprowadzał z matematyczną ścisłością, powstały nowe gatunki o dużych kwiatach pachnących, o uroczych artystycznych formach, odbiegających już znacznie od prawzoru, a mimo to albo właśnie dlatego dające ciekawe i piękne nowe walory artystyczne. Zaabsorbowany swą pracą, żyjąc zamknięty w swem laboratorjum i oranżerji, Rolland nie widywał zupełnie ludzi, poza swą starą gospodynią madame Henri i jej mężem, pełniącym funkcje ogrodnika i służącego. Czasem tylko odwiedzał go jakiś przybyły do Paryża uczony z dalekich krajów, lub były uczeń z uniwersytetu, czy młody początkujący botanik, chcący zamienić choćby kilka słów ze swym słynnym kolegą. Jakkolwiek jest rzeczą znaną, że uczeni bywają dziwakami i żyją w odosobnieniu od całego świata, to jednak, jeżeli chodzi o prof. Rollanda, opowiadano o powodach jego dziwactw niezwykłe szczegóły. Mówiono, i wtedy słuchacze tych dziwnych opowieści uśmiechali się złośliwie, że prof. Rolland był kiedyś bardzo przystojnym, eleganckim młodym człowiekiem, miał piękną i o wytwornej, oryginalnej urodzie żonę, że był bogaty i bynajmniej nie studjował botaniki i jej tajników dla karjery, lecz z prawdziwego amatorstwa. Ale przyszła chwila, kiedy, po jakiemś dotychczas bliżej nieznanem zdarzeniu, Rolland, zamknął się w swym domu, wyglądającym naówczas znacznie pokaźniej jak dziś, odmawiał przyjmowania kogokolwiek przez kilka miesięcy, i gdy wkońcu ukazał się w ogrodzie i na ulicy, był nieomal zupełnie innym człowiekiem. W tymże samym czasie z horyzontu zniknęła jego żona, która w kilka miesięcy później poczęła bywać w towarzystwach marsylskich, wkrótce zaś potem wyszła zamąż za bogatego fabrykanta perfum. Opowieści te były wysoce nieprawdopodobne, to też uważano je za bajki; wobec tego, że nikt nie śmiał spytać samego prof Rollanda o jego przeszłość osobistą, — jego karjera naukowa aż nadto była znana, — krążące anegdoty nie zostały nigdy zidentyfikowane. Faktem jednak było, że Rolland z dziwnym uporem, z dziwnym entuzjazmem pracował nad kwiatami, które stanowiły jedyny, widocznie, urok jego życia.

Tego dnia gospodyni, madame Henri, nie mogła znaleźć profesora w całym domu. Zastała go dopiero w laboratorjum, w którem Rolland siedział już od wczesnego ranka. — W praktycznej, spokojnej głowie gospodyni nie mogła się pomieścić myśl, żeby niezależny od warunków, starszy i mądry człowiek mógł pracować nad jakiemiś kwiatami, nie zjadłszy wprzód śniadania. Niosąc też na tacy kawę i dwie duże „brioches" spojrzała na Rollanda z pewnem politowaniem, wzruszając lekko ramionami.

— Jeszcze śniadania pan profesor nie pił, a już pracuje! Pan nic na siebie nie uważa, a doktór mówił, że trzeba zwracać uwagę na serce! — mówiła tonem nadąsanym.

— Serce! Serce! — odparł Rolland. — Mam dzisiaj niezwykle ważny dzień. — Profesor nie podnosząc głowy z nad mikroskopu, wskazał ręką na obok stojące krzesło. — Proszę kawę postawić na krześle.

Madame Henri postawiła tacę i odeszła. „Co z takim począć" — mówiła sobie w duchu praktyczna Normandka, która służyła u profesora już od trzydziestu lat.

Rolland wstał z krzesła. Dużemi krokami począł przechadzać się po laboratorjum, w którem na dużych stołach stały różne naczynia, kwiaty w doniczkach, aparaty ogrzewające i inne sprzęty, potrzebne mu przy pracy. Podszedł do rodzaju klosza, nakrywającego doniczkę z dużym, dziwacznie pokręconym kaktusem. Spojrzał na termometr umieszczony pod szkłem. Wyjął z kieszeni skórzany woreczek z tytoniem i począł kręcić papierosa, bacznie przypatrując się kaktusowi. Po chwili przysunął krzesło z kawą do stołu, na którym znajdował się kaktus i usiadłszy na zydlu, począł spożywać śniadanie.

Cisza panowała zupełna. Przez otwarte drzwi dolatywał szum, powstający w lecie na każdym, choćby najdrobniejszym kawałku ziemi, porośniętym trawą i krzewami i zaludnionym owadami, robakami i żyjątkami wszelkiego rodzaju. Piękno natury jednak, tem ciekawsze, że otoczone murami ulic w sercu wielkiej stolicy, nie zdawało się nęcić profesora Rollanda.

Przez otwarte drzwi weszła gospodyni:

— Pan de Brassac chce się z panem profesorem widzieć. Mówi, że nie będzie panu dużo zabierać czasu!

— Nie, nie będę profesora długo nudzić, gdyż wpadam tylko na chwilę. Chcę zobaczyć jak pan wygląda, i pogawędzić chwilkę, — przerwał gospodyni młody, przystojny człowiek, wchodzący do laboratorjum.

Profesor wyciągnął do niego rękę.

— Nikogo nie przyjmuję, ale pana zawsze! Niech pan siada!

De Brassac nieraz gościł profesora w swoim majątku, gdyż łączyła ich dawna znajomość z czasów, kiedy uczęszczał na wykłady profesora, studjując rolnictwo na uniwersytecie.

— Nad czem znowu profesor medytuje? — zapytał gość.

Profesor zastanowił się chwilę.

— Widzi pan, to nie tak łatwo powiedzieć. Od czasu jak widzieliśmy się po raz ostatni, zrobiłem duży krok naprzód. Jak pan wie, staraniem mojem było przełamanie odwiecznych praw natury. Jest to zresztą dzisiaj modą: lotnicy zwalczają opór powietrza, automobiliści starają się ograniczyć do minimum hamujące działanie tarcia. Ja, z mej strony, staram się nagiąć gatunek kaktusów do przyjmowania szczepionek w różnych innych, obcych temu gatunkowi, roślin, tworzyłem niejako „mezaljanse", jeżeli wolno się tak o tem wyrazić, między gatunkami różniącemi się swei zwyczajami, życiem, wyglądem itd. Szło to opornie: natura miała do niedawna ostatnie słowo, teraz jednak udało się mi przeszczepić na ten oto kaktus, który pan widzi pod szkłem, część pewnej rośliny, posiadającej cudowne kwiaty. Jeżeli eksperyment się uda, botanika wzbogaci się o nowy gatunek kaktusa o cudnych kwiatach: „kaktus Rolland".

W miarę, jak mówił uczony, głos jego nabierał na dźwięczności. Słowa jego robiły wrażenie, że po długiem milczeniu jakby odwykł od mówienia, i dopiero mając ciekawego słuchacza, wyjawia mu swe dotychczas ukrywane myśli. Słowa jego były nieomal namiętne, twarz profesora przybierała coraz to żywszy wyraz.

— Nie ma pan pojęcia, jakie to denerwujące, to pasowanie się z odwiecznemi prawami natury, to zwalczanie ich, to podchodzenie jej, jak wroga! Wyrabia się wtedy pewnego rodzaju specjalna ambicja, jakiś upór graniczący z naiwnością. Zresztą w mojem położeniu nic to dziwnego. Każdy człowiek widzi świat w pewnej rzeczy, czy też pod pewnym kątem widzenia. Dany przedmiot zainteresowania jest poprostu jakby „pars pro toto", jest symbolem całej reszty. Jedni widzą szczęście w pieniądzach, inni we władzy, znów inni w kobietach. Zresztą można przejść od jednego do drugiego. Można dojść do przekonania, że dotychczasowy fetysz życiowy nie był wart adoracji, i zmienić go na inny. Ja piękno świata widzę w kwiatach, które są odpowiednikiem kobiet. Tylko, że kobiety przyprawiają nas o wiele bolesnych rozczarowań, mogą nam zniszczyć życie, kwiaty są pod tym względem lepsze....

Pan de Brassac słuchał podparłszy brodę na ręku i paląc w milczeniu papierosa. Profesor zrobił małą pauzę, jakby żałując, że tyle ze swego życia odkrył przybyszowi.

— Pan profesor mówi nietylko jak uczony botanik, ale jak filozof. Ujął pan to wielkie zagadnienie życia w tak ciekawe i zrozumiałe formy, że muszę przypuszczać, iż długo pan nad tem przemyśliwał, i dużo zrobił doświadczeń w życiu, nietylko w laboratorjum — mówił cichym nieco głosem pan de Brassac.

— Dużo doświadczeń? O, owszem, bardzo dużo! Od najlepszych do najgorszych, tylko, widzi pan, ja nie zdradzam wnętrza duszy, nie pokazuję jej podszewki. Kiedyś, nie znaliśmy się zresztą wtedy, byłem wielkim amatorem kobiet. Kolekcjonowałem je, tak jak dziś kwiaty. No, nie mówmy o tem, jak i dlaczego — obojętne, ale ta manja kolekcjonerstwa przeszła. Nastąpiła inna. Dzisiaj wśród kwiatów rozróżniam brunetki i blondynki, znam typy łagodne i gwałtowne, znam kobiety-kwiaty zmysłowe i spokojne, jędze i anioły! Nie ma pan pojęcia, ile typów jest wśród kwiatów!

— A do jakiej kategorji pan profesor zalicza kaktusy? — pytał nieco zdziwiony de Brassac, który po raz pierwszy w życiu słyszał o dziedzinie, której istnienia nawet nie przeczuwał.

— Kaktusy? Jest to najciekawszy symbol kobiet: pozornie oschłe, energiczne, pewne siebie, zdawałoby się nie zwracające uwagi na mężczyzn i na miłość, stają się zmysłowemi, gwałtowemi kochankami, gdy spotkają kogoś, którego rytm życiowy zgadza się z ich rytmem; wtedy są niewolnicami mężczyzny, a uczucie ich, mówiąc popularnie, zakwita jak najpiękniejszy kwiat.

Ostatnie słowa wyrzekł Rolland, patrząc w dal ogrodu. Zdawał się wypowiadać myśl nie dla Brassaca, lecz dla siebie, formułować ją po raz pierwszy głośno wobec świadka.

Brassac uśmiechnął się.

— Dziwnie się składa, drogi profesorze, że dziś o tem wszystkiem mówimy. Przyznam się panu, że jestem w oryginalnem położeniu: znam pewną uroczą, cudną kobietę, o której względy staram się oddawna. Zawsze odtrącała moje oświadczyny. Napozór pewna siebie, energiczna, rzeczowa, zda-

Dokończenie na str. 23.

PIERWSZE ĆWICZENIA... Fot. E. Hase, Wiedeń



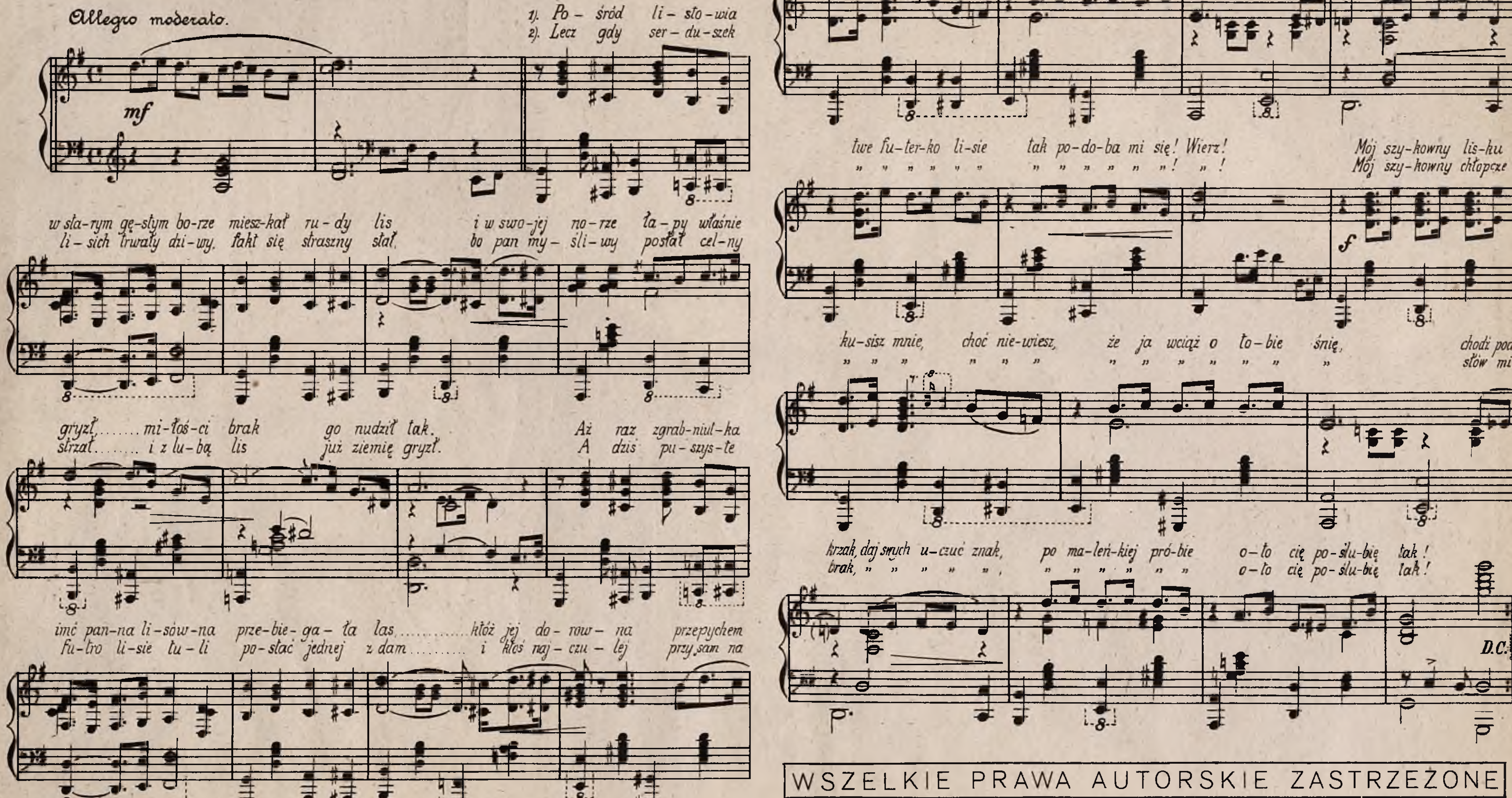
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

LIS I KOBIETA

PIOSENKA SYLWESTROWA

Słowa:
ANDRZEJ WŁAST

Muzyka:
KAZIMIERZ MEYERHOLD



Dokończenie ze str. 20.

je się być właśnie jakoby uosobieniem tego typu, o którym pan wspominał. Zbiera kaktusy i kwiaty, które stanowią jakby ciekawy konrast jej natury, ale też jej dopełnienie. Po długich naleganiach oświadczyła mi, że jeżeli jej ostatnio zakupiony kaktus, podobno jakiś ciekawy okaz afrykański, zakwitnie w czerwonym kolorze w przeciągu tego tygodnia, jak o tem zapewniał właściciel kwiaciarni, zostanie moją kochanką, jeżeli nie — daremny trud!

— Mógłbym panu coś o tem powiedzieć dokładnego, gdybym zobaczył kaktus! — odparł śmiejąc się Rolland.

— Tak, ale to niemożliwe! Wiedziałby pan, o kogo chodzi, a to „secret proressionel"! I właśnie teraz, słuchając pańskich słów, dziwnie plastycznie uzmysłowiłem sobie związek między tą kobietą, a tym pięknym kwiatem!

— Życzę powodzenia! — rzekł Rolland poważniej, niżby można się było spodziewać po dotychczasowej rozmowie. Ja również czekam na takie oświadczyny. Dziś wieczór ma się okazać, czy mój nowozaszczepiony kaktus da piękne kwiaty, czy też pozostanie zwykłym kaktusem. Nie chodzi tu o kobietę, ale bądź co bądź...

Brassac podniósł się z chybotliwego nieco zydla laboratoryjnego.

— No, w takim razie życzę sukcesu, profesorze! Proszę o mnie nie zapominać i kiedy pan będzie chciał pojechać do mnie na wieś, proszę mnie zamiadomić.

Wieczora tegoż dnia profesor Rolland siedział przy świetle dużej lampy ocienionej zielonym staroświeckim abażurem, opodal klosza, zawierającego kaktus i śledził narodziny swego tworu z tak dużem zainteresowaniem, że nie spostrzegł, iż była już dawno ciemna noc. Za otwartemi drzwiami migotały gwiazdy na ciemnem, granatowem niebie lata i chłodny powiew muskał jego rozpalone skronie. Zdawało się, że kochanek czuwa przy łożu chorej kobiety, śledząc bystro postępy choroby czy wyzdrowienia.

W pewnej chwili kielich otwarł swe listki. Oczom profesora ukazał się brudnobrązowy kwiat. W dużem pustem laboratorjum dał się słyszeć suchy, urywany śmiech.

— Poczwaro wstrętna! — śmiał się z straszliwie zmienioną twarzą Rolland — na to cię hodowałem, otaczałem opieką, abyś taki wydała owoc! Zdradziłaś mnie. To nie jest moje dzieło! Zdradziłaś mnie jak wtedy! — przybliżył się jeszcze bardziej do klosza i zwracał się do niego, jak do żywej osoby. Nie dla mnie uroki miłości! Nie dla mnie!

Następnego dnia stara madame Henri zastała profesora śpiącego z głową opartą na stole, zmęczonego, postarzałego, jakby przeszedł silny wstrząs nerwowy.

— — — — — — — — —

— Pan de Brassac — proszę pani — zameldowała przystojna subretka swej pani, baronowej de Vesles.

— Gdzież pan tak długo się podziewał? — przywitała piękna brunetka wchodzącego.

— Oddawałem się nauce i botanice, trochę też filozofji! — odparł młody człowiek, całując długo jej rękę. — Odwiedzałem mego starego znajomego, pewnego dziwaka, ale wielkiego uczonego profesora Rolland. Mówiliśmy o kobietach...

— Pewno jaknajgorzej — przerwała baronowa. Tak narzekacie na nas, a nie możecie żyć bez nas...

— O kobietach i kaktusach — ciągnął dalej Brassac. Stwierdziliśmy, że kaktusy mają równie jak kobiety swe oblicze psychologiczne, żeby się tak wyrazić.

— Naprzykład? Jestem ciekawa?!

— Naprzykład, że bronią się przed miłością, jak kaktus swemi kolcami przed pieszczotą ręki, że tak jak kobiety w pewnej chwili rozkwitają kwiatem i wtedy piękniejszy jest on u odpornych kaktusów, jak u tych roślin, które się nie bronią...

Przysunął się blisko do pani de Vesles i spojrzał jej w oczy.

— Czyż nie tak?

— Ma pan rację — odparła powoli, jakby rozkoszując się własnemi słowami. Tak, w każdym razie ma pan szczęście. Zwykłam dotrzymywać słowa i zobowiązań. A właśnie dzisiaj popołudniu kaktus mój zakwitł...

— — — — — — — — —

Jedną z nielicznych przyjemności pani Anny Krasnowieckiej było uczęszczanie na wystawy psów i wystawy kwiatów. Jeszcze z swych czasów, jak mawiała „ukraińskich", kiedy było młodą i piękną kobietą i panią na dużych włościach pod Kijowem, oddała swe serce i przywiązanie zwierzętom i kwiatom. Wiedziała, że one jej nie zawiodą, bo niczego nie obiecują. W dworze semenowickim pełno było psów wszelkich ras i wszelkiej kondycyj, pełno było też w ogrodzie i wzorowo utrzymanych cieplarniach krajowych i egzotycznych kwiatów. Przed domem rosły olbrzymie agawy, sprowadzone przez ojca pani Krasnowieckiej z Sycylji. Kochała ziemię i wszystko, co na niej rośnie: rozkoszowała się bogactwem tonów zieloności, złoto zbóż bardziej kochała, niż złoto pieniądza, dla którego naówczas nie miała zrozumienia, bo nie znała jego wartości.

Pełna oczekiwania, jakby chodziło tu o premjerę jakiejś nowej sztuki, szła tego dnia pani Krasnowiecka na wystawę kaktusów, o której czytała w „Matinie". Miały być tam jakieś nadwyraz rzadkie, ciekawe okazy kwitnących kaktusów, użyczone przez prof. Rollanda, słynnego botanika. Paryż przesiąknięty był ciepłą wilgocią po silnym deszczu, który w południe tegoż dnia spadł na stolicę.

Pójście do parku, w którym mieściła się wystawa, było dla tej pięćdziesięciokilkoletniej osoby, wyrwanej z swego środowiska dziejowemi wydarzeniami, a pędzącej smutny, jednostajny żywot jako urzędniczka polsko-francuskiego towarzystwa handlowego, wielkim ewenementem. Przechodząc przez oszklone pawilony, przypominały jej się dobre czasy w Semenówce, różne drobne, ale jakże miłe epizody ówczesnego życia odżywały w jej pamięci, czuła się na chwilę tą dawną, szczęśliwą, nie znającą przeciwności życia kobietą, kochaną przez męża, szanowaną przez przyjaciół i sąsiadów. Egzotyczne zapachy, nagrzana atmosfera cieplarniana, widok pulchnej, żyznej ziemi dziwnie na nią podziałały.

Wkońcu weszła do głównego pawilonu, w którym setki ludzi tłoczyło się koło wspaniałego dużego kaktusa, kwitnącego jakimś brązowym, egzotycznym kwiatem.

Grupa Anglików z powagą i skupieniem słuchała słów przewodnika, który wymieniał raz po raz jakieś egzotyczne, niezrozumiałe łacińskie nazwy.

Obejrzawszy wszystkie pawilony, nacieszywszy się ciepłem tych szklanych domów, wychodziła z ogrodu. Uliczny sprzedawca, siedzący przy wyjściu, zachwalał ochrypłym głosem kwiaty, które stały w doniczkach na trzech stopniach przenośnego małego kramiku.

— Les fleurs font votre bonheur! Regardez-les, elles vous remplaceront une amie infidèle, affaceront, des désenchantements, elles seront l'ornement de votre maison! — silna gestykulacja podkreślała słowa sprzedawcy, który zdawał się, widać znając klientelę, zwracać uwagę na starsze kobiety.

Pani Krasnowiecka przystanęła przy kramiku z kwiatami.

— Ile kosztuje ten fjołek alpejski? — zapytała.

— Pour vous madame, tylko dziesięć franków!

Otworzyła nieco już zużytą torebkę skórzaną i wyjęła dziesięciofrankówkę. Sprzedawca zawinął doniczkę w papier i podał go kupującej.

— Niech kwiat ten stanie się radością pani domu i rodziny! — rzekł z przesadną, jakby wschodnią emfazą.

Pani Krasnowiecka silnie ujęła doniczkę lewą ręką. Szła przez wielki Paryż do swego mieszkanka, mieszczącego się na wyskiem piętrze starego, brudnawego hoteliku i miała wrażenie, że unosi ze sobą strzęp ziemi straconej Semenówki.

Dokończenie ze str. 18-ej

powinien być najwyżej starszym majtkiem. Obiecałem mu, że dostanie nową balję, przepraszam kajak, z tajemnie wmontowanym motorkiem, który przyda się napewno, gdy mistrzowi Polski braknie sił we finale olimpijskim.

— Ale piłkarze mieli chyba prawo domagać się ładnego prezentu?

— No pewnie! brawa po triumfie nad Jugosławją i Bologną obijały się tak silnem echem o niebo, że aż trzęsło się u nas. Mimo to pozwolono mi załatwić wszystkie ich prośby, które zresztą były identyczne. Dzisiaj cała wasza jedenastka znajdzie pod drzewkiem, dożywotnie kontrakty do drużyny Arsenalu w Londynie.

— Takie zawodowe engagement było też pewnie marzeniem Jadzi Jędrzejowskiej?

— O nie, Jadzia oświadczyła mi, że chce mieć... męża. O mało sam się nie oświadczyłem, ale przypomniałem sobie w porę, że jestem bezpłciową i to zbyt wątłą istotą. Chwilowo usprawiedliwiłem się, że dzisiaj jest bardzo trudno o ten towar. Może poradzisz mi co mam robić z tym fantem?

— Nie nie musisz się martwić, jest bowiem znane polskie przysłowie, które się zresztą zwykle sprawdza, a inne francuskie mówi: les extremes se touchent.

— Od sportowców udałem się do naukowców — opowiadał dalej Aniołek, który zaczerwienił się trochę na moją frywolną uwagę. — Dunikowskiemu poradziłem żeby się udał do Banku Polskiego, to go tam nauczy jak się robi n'etyle złoto co złote, Nitsch powiedział mi, że go gryzie to, iż jest nitschem wobec Nitsche'go, a nawet ja mu na to nitsch nie poradzę. Wogóle musiałem rozpylić w tym świecie całą butelkę optymizmu.

— A u literatów?

— O tam jest zawsze rojno i gwarno, zwłaszcza odkąd siedząc w kozie można się pokumać z Wielką Niedźwiedzicą. Ale to co udało się skazanemu nie przychodzi tak łatwo nawet niektórym adwokatom-obrońcom. Tak się to już u was stosunki zmieniają.

— Prawdę mówisz — przytaknąłem — a o co prosił Nowakowski?

— Chciałby tak śpiewać przemawiać jak Kiepura!

— A Kiepura?

— Ten chciał mi oddać nawet jedną dziesiątą swego głosu byle tylko mógł pisać tak jak Nowakowski.

— No proszę! Jaki ten chłopok wspaniałomyślny — zauważyłem — a cóż jego żoneczka Marcysia Eggerth?

— Musiałem jej obiecać, że zagra prawdziwą Marcynę, w filmowej inscenizacji powieści Kędziory.

— Dziękuję Ci bardzo, Aniołku, zato że mi tyle opowiedziałeś — wtrąciłem — robi się już szaro, powiedz mi więc jeszcze tylko co chcieli nasi dobrzy znajomi, naprzykład Charlie?

— Żebym mu narysował karykatury do twojego artykułu.

— A mnie przyniesi... — nie skończyłem zdania gdyż postać mego gościa rozwiała się w powietrzu. I tylko na stole dostrzegłem pozostawiony przez niego list od narzeczonej, która się na mnie pogniewała.

Wit.

STRESZCZENIE I-szej CZĘŚCI:

Davos, jedna z najpiękniejszych stacyj klimatycznych Szwajcarji i ożywione centrum sportów zimowych, zapełnia się tuż przed świętami Bożego Narodzenia tłumem międzynarodowej publiczności, która zjeżdża tu rok rocznie, by na zalanych gorącemi promieniami słońca terenach zażywać rozkoszy sportu narciarskiego i wypocząć po „trudach“ życia wielkomiejskiego. Wspaniałe hotele ożywają i stają się idealnemi ramami dla zabaw bogatych snobów płci brzydkiej i pięknej. Może największem powodzeniem cieszy się „Jungfrau-Palace“, w tym sezonie już dawno wypełniony po brzegi. Tam właśnie obserwujemy „dobrane“ kółeczko piękniś i ich adoratorów, którzy chętnie zabawiają się obgadywaniem bliźnich i zazwyczaj nie pozostawiają na nich „suchej nitki“. Ten sport uprawia się najlepiej w sali jadalnej podczas lunchu i dinner, tembardziej, że w pierwszej porze zajeżdża do Davos ekspres engadyński, a z nim nowa fala kuracjuszy — świeży transport objektów na plotki, rodzące się już w chwili przybycia sań hotelowych przed taras, doskonale widoczny z szerokich okien jadalni. Pewnego dnia w saniach pojawiła się wytworna para, którą kółeczko „Jungfrau-Palace“ postanowiło zdemaskować jako kochanków, szukających w Davos schronienia przed okiem znajomych a może rodziny.



Maquillage przyda się i na nartach

UŚMIECHY ZIMY

Dokończenie art. „Amor na śniegu“ z nr. 52 magazynu „As“



Szkoci grają w curling na lodowisku „Jungfrau-Palace'u“...



Oto hors d'oeuvres, przygotowane dla ślizgających się na stadjonie lodowym...

Tego samego dnia wieczorem grono naszych znajomych, z którymi zapoznaliśmy Czytelników w poprzednim numerze „Asa“, zebrało się znowu w sali jadalnej na dinner.

Wspaniałe wnętrza „Jungfrau-Palace'u“ przybierają o tej porze zgoła odmienny wygląd: panie w bogatych tualetach wieczorowych, dekolty, biżuterja, zapach drogich perfum — panowie wyświeżeni, w doskonale skrojonych smokingach, a nawet frakach, nieskalana biel gorsów oprawiona w czerń — wszystko to żywo kontrastuje z rodzajem strojów, obserwowanych podczas lunchu, przeważnie wybitnie sportowych, w których śmiałe zestawienie żywych barw walczy o lepsze z bogactwem wzorów, różnorodnością materjałów i oryginalnością form. W południe orgja kolorów, sala tonąca w powodzi promieni słonecznych — wieczór jednostajność barw, sala raczej przyciemniona w świetle żółtych kinkietów i czerwonych kandelabrów. W rogu, w specjalnej wnęce jazz; jego dyskretne tony, wibrujące właśnie w takt modnego walca angielskiego, docierają do uszu tylko tych, którzy tego pragną. Innym nie przeszkadzają w rozmowie.

Nastrój na sali ożywiony — humory doskonałe... Ogólne zainteresowanie wywołuje stolik, zarezerwowany dla nowoprzybyłej pary, a umieszczony na środku sali, przez co z punktu staje się echem obserwacyj całego towarzystwa. Zdobi go bukiet wspaniałych ponsowych róż, sprowadzonych w tym czasie do Davos aż z cieplarni nicejskich.

— Róże zamówił towarzysz tej damy — szepnął w przejściu dyskretnie maître d'hotel na zapytanie wybitnie zaintrygowanej grubej Amerykanki, co zostało przez nią przyjęte z niekłamaną radością. Ale dopiero wejście na salę pięknej nieznajomej i jej cavalliere servente powoduje szereg uwag, powtarza-



Powyżej: Zabawa wre na sali dancingowej w „Jungfrau-Palace“





Na lewo: Ogólny widok Davos z lotu ptaka.



Na prawo: Zamiast czapeczki używa się obecnie barwnych chust...

nych z ust do ust. I o dziwo! nawet obojętna dotąd na wszystko Anna May Wong skierowała na stolik piękne swe oczy, a zpod ich długich rzęs popłynęły w stronę towarzysza damy zabójcze spojrzenia, pod wpływem których serce najzimniejszego eskimosa zaczęłoby tajać w szybkiem tempie. Mrs. Seelwood, walcząc dzielnie z potężną warstwą nałożonego na twarz różu i pudru, raz poraz uśmiechała się do pięknego młodzieńca, w miarę możności uroczo i dyskretnie tak, by reszta towarzystwa tego nie dostrzegła, a „wesoła wdówka" pani Bosshardt niby od niechcenia korygowała śmiały dekolt swej tualety, o której jakiś Paquin czy Worth powiedziałby, że zbliża się do modelu à la Eve.

Cała ta jednak wojna zaczepna, prowadzona przez zastęp pięknych lub tylko ponętnych kobiet, wedle wszelkich prawideł kunsztu bojowego w służbie Amora, nie czyniła żadnego wrażenie na towarzyszu nieznajomej damy, wyłącznie nią zajętym, zapatrzonym jak w obraz i zasłuchanym w melodję jej słów. Gdy z nią rozmawiał oczy jego wyrażały wielką miłość i tkliwość, a w pewnym momencie nawet zauważono, jak dyskretnie pogłaskał jej rasową wypielęgnowaną rękę.

— No, tego już za wiele! — rzuciła półgłosem piękna Wenezuelka pani Sanabria — zupełnie się nie krępują!

Ciekawska May Wong i „Telimena" Seelwood, siedzące najbliżej „nowego" stolika, starały się wyłowić bodaj fragmenty rozmowy, prowadzonej przez parę, tak wszystkich intrygującą:

— Mam wielką ochotę pójść gdzieś jeszcze... — doleciały do uszu pań słowa, wymówione przez młodego człowieka.

— Ależ naturalnie, idź, może tu do baru, lub gdzieindziej, gdzie zechcesz — odpowiedziała z ujmującym uśmiechem nieznajoma.

— Pójdziesz ze mną? — zapytał tkliwie.

— Nie kochanie, jestem zmęczona po podróży, idź kochanie sam. Czy nie potrzebujesz pieniędzy?

— Właściwie, to tak...

Otwarła torebkę z czarnej masy, ozdobiona brylantowym monogramem i wyjąwszy z niej banknot podała go z uśmiechem towarzyszowi.

Na prawo: Kulig bywa urozmaicony libacją w schronisku napotkanem po drodze...





zjazd...



katastrofa...



refleksje...

Poniżej: Piękna Meksykanka podąża z instruktorem do stacji „Parsennbahn"



— Zupełnie bezwstydna! — syknęła mrs. Seelwood — ostentacyjnie daje wszystkim do zrozumienia, że ten bubek jest na jej utrzymaniu! — tę najnowszą wiadomość niosła poczta pantoflowa od stolika do stolika.

— Well! pieniądz jest pieniądzem — mruknęła gruba Amerykanka, oblizując spływający po ustach tłuszcz z bażanta — nie rozumiem, czem się panie tak przejmują...

Tymczasem piękna nieznajoma i towarzyszący jej młody człowiek wstali od stołu i idąc pod rękę opuścili dyskretnie salę jadalną. Po skończonem dinner, gdy całe towarzystwo przeszło do jarzących się od świateł salonów, dyrektor hotelu z nieznikającym na okrągłem obliczu uśmiechem zbliżył się do nowoprzybyłej pary, która zatrzymała się przy stole, przeglądając programy wieczornych imprez.

— Czy można państwu coś zaproponować?

— Nie, dziękujemy, już zadecydowaliśmy... Ale prawda, nie znamy jeszcze tutejszego towarzystwa...

— Państwo pozwolą, że im przedstawię: Mme. Butard, Mr. Butard — zwrócił się do obecnych dyrektor hotelu, czyniąc przytem dyskretny ruch ręką w kierunku pięknej nieznajomej i jej towarzysza.

— Czy widział ktoś coś podobnego — wycedziła przez zęby „wesoła wdówka" pani Bosshardt, zwracając się do dr. Jennikse-

Dokończenie na str. 26.



Wyciąg, zwany „uphillem", pomaga w szybkiem wydostaniu się na start zjazdu...

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XXVII.



Ćwiczenie pierwsze: Ujmujemy prawą stopę w prawą rękę, unosząc nogę jaknajwyżej...

zisiejsze ćwiczenie ma na celu intensywny trening mięśni nóg. Jak ważne są te ćwiczenia, zdajemy sobie z tego sprawę dopiero, gdy konstatujemy błogosławione skutki innych ćwiczeń dotychczasowych tego rodzaju, podawanych w „Asie“, a mających na celu wzmocnienie i usprawnienie muskulatury ud i łydek, oraz ruchliwość i sprężystość stawów.

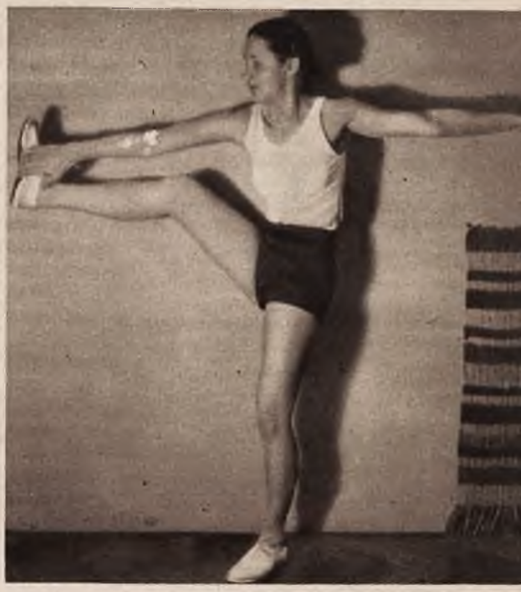
Podany przez nas trening wkracza już w dziedzinę akrobatyki i przeznaczony jest raczej dla młodszych naszych miłośników gimnastyki, pragnących osiągnąć prawidłową linję i strukturę nóg. Oto jak wygląda ćwiczenie I-sze:

Stajemy prosto, wyprężając dokładnie obydwie nogi. Ujmujemy prawą stopę w prawą rękę, unosimy nogę tak wysoko, jak tylko da się to uczynić. Zasadnicza strona tego ćwiczenia polega na tem, że podudzie wyciągamy tak wysoko, aby z udem tworzyło kąt prosty. To samo ćwiczenie powtarzamy z lewą nogą. Po powtórzeniu ćwiczenia każdą nogą po dwa razy wykonujemy kilka mocnych wahadłowych ruchów obydwiema nogami.

Ćwiczenie II-gie: Opieramy się znowu mocno i pewnie na intensywnie wyprężonych nogach, stawiając je równolegle obok siebie. Następnie podnosimy jedną nogę wprzód, wyprężając ją mocno jak tylko się da i zadzierając ją wgórę jaknajwyżej, drugą rękę wyprężamy poziomo w przeciwnym kierunku dla osiągnięcia pełnej równowagi. Gdy już pozycja nasza jest utrwalona i spokojna, wykonujemy serję skoków, nie wypuszczając z dłoni wyprężonej nogi i nie opuszczając drugiej wyciągniętej ręki. Po wykonaniu tylu skoków, aby wystarczyły na dwukrotny obrót niejako dookoła własnej osi, powtarzamy to samo ćwiczenie na drugiej nodze. Następnie wykonujemy kilka energicznych ruchów wahadłowych obydwiema nogami, albo kilka szybkich przysiadów, kładziemy się na wznak, podnosimy obie nogi w górę, kilkakrotnie naprzemian uginając je mocno w kolanie i wyprężając pionowo.

I znowu musimy przypomnieć, że po każdem przepisanem przez nas ćwiczeniu gimnastycznem należy powtórzyć energiczną gimnastykę oddechową możliwie przy otwartem oknie, względnie w pokoju dobrze przewietrzonym przed ćwiczeniem gimnastycznem.

Powyżej podane ćwiczenia służą, jak już wspomnieliśmy, w pierwszym rzędzie do wytrenowania mięśni i stawów nóg, ale także do osiągnięcia łatwości w utrzymaniu równowagi bez względu na mniej lub więcej trudną i ryzykowną pozycję. Przez wyprężanie i wysilanie ramion równocześnie z gimnastykowaniem nóg, usprawniają się kości i mięśnie całego tułowia.



Ćwiczenie drugie: Podnosimy jedną nogę wprzód, wyprężając ją mocno...

Dokończenie ze str 25-tej

na — mają jeszcze czelność podawać się za małżeństwo!

— To zwykle tak bywa — rzuciła Anna May Wong — podczas gdy wszyscy po kolei zbliżali się do pp. Butard.

— Czy pani bawi w przejeździe w Davos, czy też zostanie tu pani przez dłuższy czas ze swoim... synem — przepraszam — ze swoim... mężem? — zapytała złośliwie Margrith Seelwood.

— Nie ma mnie pani za co przepraszać! — sprostowała mme. Butard — to właśnie mój syn. — Przy tych słowach twarz pięknej pani zajaśniała czarującym uśmiechem, który w lekko rozchylonych ustach ukazał zdumionej mrs. Seelwood rząd przepysznych zębów.

— Mój syn — słowa te wypowiedziane głośno i dobitnie podziałały na obecnych jak bomba!

— Jakto? czy to możliwe? inaczej nie przyznawałaby się do tego publicznie! Odważna! — te i tym podobne uwagi potoczyły się szeptem dokoła.

— Cóż to za wspaniała kobieta — skapitulowała pierwsza Anna May Wong, a w ślad za nią i inne panie z punktu poddały rewizji swój dotychczasowy, mało przychylny stosunek do pięknej mme. Butard. May Wong miała teraz największe szanse, by złowić w swą wolną sieć młodego Butarda. Jeszcze tego wieczoru — zaciągając się ulubionym Camelem, snuła projekty wspólnych wypraw narciarskich z pięknym młodzieńcem. Niepocieszoną została tylko „Telimena“ Seelwood, którą udawadniała bezskutecznie pani van Tuytten, że ona jedna wiedziała od pierwszej chwili, iż młody człowiek jest... tylko synem pięknej pani...

Tej nocy goście „Jungfrau-Palace'u“ w Davos spali snem sprawiedliwych.

Zygmunt Borzęcki (Davos).

ZROBIĘ TO SAMA!

PULLOWER BEZ KOŁNIERZA

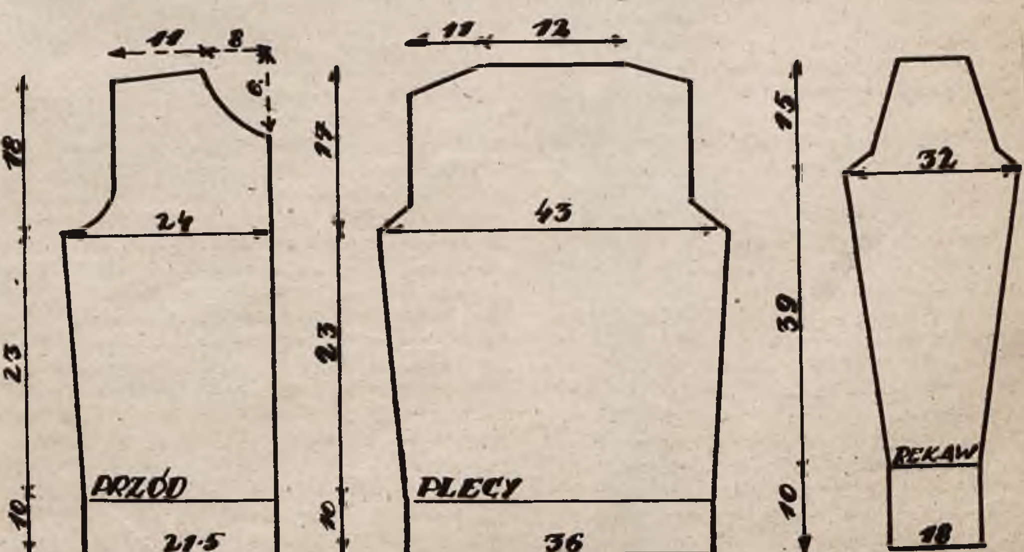
Podajemy opis modnego pullowera w ulubionej formie żakietu bez kołnierza. Dzięki temu można pullower ożywić różnobarwnemi szalikami i dostosować go w ten sposób do różnych kompletów. Wykonujemy go z dobrej włóczki merynosowej, naprzykład z włóczki „Tęcza" marki „Trójkąt w Kole" w dowolnym kolorze. Druty nr. 2, oraz 2.5. Obwódkę na dole przodu i pleców wykonujemy ściągaczką podwójną na cieńszych drutach, przerabiając dwa oczka wprost, dwa na wywrót. Dalej przerabiamy na grubszych drutach następującym ściegiem: po lewej stronie roboty przerabiamy przez 4 rzędy naprzemian 2 oczka wprost, dwa na wywrót. Oczka lewe wypadają stale nad sobą, tworząc po prawej stronie roboty pionowe pasy z oczek prawych. Po prawej stronie roboty przerabiamy wszystkie oczka stale wprost. Po ośmiu rzędach przerabiamy po lewej stronie roboty jak następuje: 2 oczka wprost, 2 oczka na wywrót, 1 oczko wprost, 2 oczka wprost, 1 oczko na wywrót, z nitki pomiędzy oczkami zrobić nowe oczko prawe przekręcone, 1 oczko na wywrót i powtarzać od początku rzędu. Po prawej stronie roboty wszystkie oczka prawe jak poprzednio. Przez następne 6 rzędów po lewej stronie roboty wypadają oczka prawe na prawych, lewe na lewych. Po 6-ciu rzędach przerabiając po prawej stronie roboty, przerabiamy nowo dodane oczko wprost, razem z następnym oczkiem. Te 14 rzędów powtarzamy teraz. W przedni brzeg prawego przodu wrabiamy 7 dziurek na guziki, zakończając po 4 oczka i nabierając w tem samem miejscu, w następnym rzędzie 4 nowe oczka. W ten sposób wrabiamy 7 dziurek w odstępach co 6 cm. Z boków nadajemy formę dodawaniem i ujmowaniem wg. schematu kroju, obliczonego na 90 cm obwodu klatki piersiowej. Rękawy zaczynamy od góry na 16 oczek i przerabiamy, dodając na końcu i początku każdego rzędu. Gdy obwód zaokrąglenia u góry rękawa jest równy obwodowi wycięcia na rękaw w żakiecie, przestajemy dodawać, a natomiast ujmujemy co 6 rzędów. Mankiet wykonujemy znowu na cieńszych drutach ściągaczką podwójną. Po zeszyciu gotowych części obrabiamy wycięcie przy szyi rzędem półsłupków, ściągając je nieco. Zapinamy sweter na drewniane guziki w kolorze kompletu oraz na ukryte zatrzaski.

Mieczysława Drozdowska.



Zimowy wełniany pullowerek z drewnianymi guzikami.

Fot. Mandi — Amsterdam



Schemat kroju pullowera bez kołnierza.

WIELKI DZIEŃ

Niejeden powie, że anachronizmem jest dziś nazywanie uroczystości ślubnych „Wielkim Dniem", że odtąd przestał on być w życiu jedynym. Odkąd rozwody pozwalają go powtarzać dwa, trzy i więcej razy, trudno uważać go za coś wyjątkowo ważnego. Dawniej dzień ślubu to była uroczysta, niepowtarzalna „premjera" — dziś stanowi on tylko pierwsze przedstawienie, w oczekiwaniu wznowień, o których się już zgóry wie, że nastąpią...

Takby sądził pesymista i sceptyk. Tak jednak nie jest, przynajmniej u nas. Małżeństwo to zawsze skok w niewiadome, podróż — emocjonująca i pełna niebezpieczeństw — w Nieznane. Ale bez względu na to, co przyszłość okaże, większość ludzi w dniu ślubu wierzy niezachwianie, że to jest „Wielki Dzień" — pierwszy dzień zrealizowanego szczęścia.

I dlatego uroczystości ślubne nie przestały być otaczane specjalną reżyserją, mającą na celu podkreślenie i usymbolizowanie głębokiego ich znaczenia i wagi. Dlatego obrzędy religijne, kodeks towarzyski i prawidła mody, wszystko otacza tę chwilę szczególnym, symbolicznym nimbem...

Przyznać jednak trzeba, że czasy powojenne wniosły w uroczystości ślubne zasadnicze zmiany i wycisnęły na nich swe wymowne piętno. Dawniej zawarcie małżeństwa musiało poprzedzać okres przygotowań, w którym nie było miejsca na pośpiech, nie licujący z ważnością chwili. Przez długie miesiące szyło się i haftowało wyprawę, urządzało





Powyżej: Po ceremonji ślubnej pan młody składa na ustach swej wybranej pierwszy pocałunek małżeński... — Na lewo: Oto jak powinien wyglądać strój rodziców młodej pary w czasie ślubu w porze południowej.

dla młodej pary mieszkanie, obmyślało program uroczystości weselnych, w których brała udział nietylko rodzina, lecz i liczne grono bliższych a nawet dalszych znajomych. Wszystko musiało być przemyślane i przewidziane, wycyzelowane w każdym szczególe. Nawet trasa podróży poślubnej ustalana była najdokładniej w kole rodzinnem.

Dziś załatwia się te rzeczy prościej, prędzej, mniej kosztownie, ale przyznać też trzeba — trochę po barbarzyńsku. Rodzina, a nawet rodzice, najpóźniej dowiadują się o dacie ślubu, o ile wogóle o fakcie tym zostają powiadomieni w porę. Ileż młodych par bierze dziś ślub po cichu, przy dwóch świadkach, bez porozumienia z rodzicami, traktując to rzeczowo i bez sentymentów, jak każdy inny interes, który załatwić trzeba formalnie. Wielu widzi w tem objaw dodatni, dowód postępowości i dyskrecji, wzdragającej się przed roztaczaniem publicznem kwestyj, związanych z najprywatniejszą dziedziną uczuciową. Jest w tem trochę racji, ale nie sposób oprzeć się wrażeniu, że ta pospieszność i nie przywiązywanie wagi do form zewnętrznych znajduje swe uzasadnienie także i w nieco zbyt lekkiem i powierzchownem traktowaniu małżeństwa w ogólności.

Nawet w ślubach t. zw. paradnych powojenny kodeks towarzyski wprowadził wiele uproszczeń. Dawniej wesele trwało conajmniej trzy dni: zaczynało się rautem przedślubnym, w drugi dzień następowała właściwa ceremonja zaślubin, po której państwo młodzi wyjeżdżali, rodzina zaś i znajomi bawili się jeszcze hucznie bez ich współudziału.

Zagranicą przyjął się obecnie schemat uroczystości weselnych, polegający na tem, że ślub odbywa się w południe, poczem spożywa się lunch w gronie najbliższej rodziny, w późniejszych zaś godzinach popołudniowych schodzą się zaproszeni goście i po wystawnym wieczornym obiedzie zabawa przeciąga się do północy i dłużej. Często również urządza się śluby o 6 lub 7-ej wieczorem, poczem odbywa się przyjęcie z tańcami, trwającemi niemal do rana. Śluby skromniejsze mają miejsce najczęściej miedzy 10 a 12 w południe i kończą się lunchem w gronie najbliższych. Są to zasadnicze 3 ty-

py uroczystości weselnych, każdy zaś z nich wymaga innych tualet i innych szczegółów w sposobie przyjęcia gości.

Typ pierwszy warunkuje następujące stroje: Panna młoda nosi suknie ślubną z trenem i długim welonem, pan młody żakiet i twardy kołnierzyk z plastronem oraz cylinder, podobnie jak i inni panowie z orszaku ślubnego. Starsze panie (szczególnie matki panny i pana młodego) wybierają na ten cel najchętniej ciemne kostjumy, przybrane pięknem futrem, o spódnicy długiej do kostek, noszone z strojną bluzką z lamy, która po zdjęciu żakietu nadaje tualecie wieczorowy charakter. Podobnie ubrane są młodsze panie, z tą różnicą, że ich kostjumy czy komplety (suknia z trzyćwierciowym płaszczem) powinny mieć normalną długość sukien wizytowych. Kapelusze z aksamitu, weluru lub piórek w postaci małych toczków czy turbanów zachowuje się przy lunchu, zdejmując je dopiero do obiadu i tańców.

Ładny, choć u nas rzadko przestrzegany zwyczaj wymaga, aby wszystkie panny z orszaku, spełniające funkcje drużek, były ubrane jednako, z indywidualnemi drobnemi tylko warjantami, dostosowanemi do wieku i typu urody drużki.

Na ślubach wieczornych dla pana młodego obowiązujący jest frak, panna młoda nosi suknię z długim trenem i welonem, zaproszeni zaś goście ubrani są również wieczorowo.

szaku, pełniące fun-

Na skromniejsze śluby ranne pan młody wkłada żakiet z plastronem lub nawet ubranie wizytowe marynarkowe, panna młoda może mieć normalną suknię ślubną bez trenu lub też biały kostjum czy komplet, złożony z białej sukni i płaszcza, lecz wtedy wykluczony jest welon, który zastępuje biały kapelusz z wualeczką; goście natomiast noszą skromne stroje wizytowe. U nas często jeszcze przestrzegany jest przesąd, że w ślubnym orszaku dla pań wykluczony jest kolor czarny. Zagranicą oddawna nie jest to aktualne, uważa się jedynie na to, aby przy czarnym kostjumie czy sukni zastosować jakieś kolorowe szczegóły, np. kwiaty, kapelusz czy rękawiczki, aby strój nie robił wrażenia żałoby.



W wigilję ślubu narzeczony miewa wielkie powodzenie u kobiet, na które narzeczona patrzy pobłażliwem okiem...

Jeśli chodzi o tualetę panny młodej, ewoluuje ona wraz z modą, zawsze jednak odpowiadać musi pewnym zasadniczym wymogom: powinna być długa, niezbyt przeźroczysta, pozbawiona dekoltu i musi mieć długie rękawy. Elekancja jej powinna być dyskretna i polegać w pierwszym rzędzie na pięknym materjale i wytwornym kroju, a nie na strojnych i efektownych przybraniach. Dzisiejsza moda stwarza piękne i stylowe modele sukien ślubnych drapowanych z aksamitu, ciężkiego atłasu czy matowej krepy. — Mniej eleganckie są już suknie z biało-srebrnej lamy.

Jednym z najważniejszych szczegółów stroju ślubnego jest upięcie welonu. Może on być zrobiony z prawdziwych koronek, z gładkiego tiulu, z gazy, lub też z tiulu obszytego koronkami, Tradycyjny i nieco staroświecki wianek z mirtu i kwiatu pomarańczowego zastępują dziś djademy czy bukieciki z pączków białych kamelji.



Suknia ślubna odznacza się skromną linią, brakiem dekoltu i długiemi rękawami.

Strój ślubny jest tak ładny i wdzięczny, tak podkreśla urodę i młodość oblubienicy, że niewiele kobiet wyrzeknie się go dla kolorowego kostjumu czy sukni. I tak jest dobrze, bo szkoda by było tradycji, otaczającej specjalnym nimbem i ceremonjałem ten prawdziwy „Wielki Dzień", który jako jeden z nielicznych, w współczesnem życiu, stanowi chwilę uroczystą i pamiętną.

Lady Like.

Poniżej: Oryginalne upięcie welonu.





Dwa rodzaje przybrania głowy welonem ślubnym.

Fot. Mundi — Amsterdam

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA ANGIELSKA OX-TAIL. Na zupę tę używany bywa cały ogon wołowy, który przed nastawieniem do gotowania, należy szybko sparzyć wrzącą, słoną wodą, następnie kraje się go na kilka części, dodaje dużo włoszczyzny i troszkę korzeni oraz kawałek suszonej papryki, o ile jej niema, kilka ziarn całego pieprzu. Wszystko to zalewa się zimną wodą i gotuje tak długo, aż mięso na ogonie jest miękkie, wtedy obiera się je, kraje drobno i daje do wazy, razem z kilkoma uduszonemi i pokrajanemi pieczarkami. Rosół powinien być zupełnie odtłuszczony, w tym celu ostudza się go i zdejmuje cały tłuszcz z powierzchni, poczem dolewa się kieliszeczek madery, zagotowuje ponownie i podaje z smażonym grzybkiem, pokrajanym w kostkę.

PASZTET STRASBURSKI NA DOMOWY SPOSÓB. Kilka dużych wątróbek gęsich lub całą młodą cielecą wątróbkę obiera się z błon i zanurza do mleka na 24 godziny, z czego staje się białą i nabiera dobrego smaku. Wyjętą z mleka wątrobę (lub wątróbki) obsusza się i dusi na słoninie (20 dkg) i pokrajanej cebuli przez 15 minut. Ostudzoną miele się na maszynce i fasuje przez sito, poczem dodaje się soli i białego pieprzu oraz 3 jaja i miesza a raczej uciera przez conajmniej kwadrans Do farszu dodaje się osobno uduszoną i pokrajaną w plasterki tuczną gęsią wątróbkę (o ile pasztet robiony jest z cielęcej) oraz krajane w talarki gotowane trufle. Farsz wraz z dodatkami układa się warstwami w małej formie, natartej świeżem masłem i piecze lub gotuje na parze przez godzinę. Z formy wyjmuje się pasztet po zupełnem ostudzeniu i oblewa smalcem gęsim, który musi na pasztecie zastygnąć.

OZÓR W MAJONEZIE. Ugotowany, niezbyt gruby ozór wołowy obciąga się z błony i odkłada do ostudzenia. W międzyczasie miele się 75 dkg chudej wieprzowiny z namoczoną w rosole i wyciśniętą bułką, dodaje soli, pieprzu, łyżkę siekanej, zielonej pietruszki, 2 jaja całe, łyżkę kwaśnej śmietany i uciera na gładką, pulchną masę, którą się wykłada na masłem natartą serwetę na palec grubości. Na środek farszu kładzie się ozór, zawija tak, aby wszędzie był farszem okryty, okręca szpagatem i gotuje w rosole z pod ozora, z dodatkiem jarzyn i kto lubi — korzeni, przez 1—1½ godziny. Ozór ostudzony w rosole wyjmuje się i pozostawiwszy go w serwecie po zdjęciu szpagatu, przyciska deską i ciężarkiem przez 24 godziny. Wyjęty z serwety, kraje się ozór w plastry, zestawia na półmisku w całość i oblewa **sosem majonezowym z sardelami.** Przepis na sos: 3 żółtka ugotowane na twardo oraz 1 surowe, uciera się na gęsty majonez z szklanką oliwy, dodawanej kroplami, poczem dolewa się sok z 3 cytryn, kilka sardeli, przefasowanych przez sito, pół łyżeczki soli i białego pieprzu, oraz łyżeczkę cukru. Wkońcu dodać można łyżkę kaparów i różnych pikli drobno pokrajanych, lub też temi ostatniemi ubrać tylko półmisek.

SAŁATKA Z RESZTEK RYBY. Resztki ryby lub też rybę ugotowaną w słonej wodzie oczyszcza się z ości i z pomocą dwóch srebrnych widelcy drobi na małe kawałki, poczem dodaje się kilka łyżek majonezu, sporządzonego wedle wyżej podanego przepisu, miesza dokładnie, układa na salaterce w formie ryby, osypuje siekanym auszpikiem i ubiera kaparkami i plasterkami cytryny.

PRĘDKA LEGUMINA WIEDEŃSKA. Szklankę mleka rozkłuca się z 3 żółtkami, dodaje troszke soli, łyżkę mączki cukrowej, łyżkę topionego masła i ubija spiralką, dosypując po trosze 10 dkg sypkiej mąki, potem dodaje się pianę z pozostałych 3 białek, dorzuca garstkę rodzynków i wylewa ciasto na rozpalone na patelni masło. Leguminę piecze się w piecyku przez 15 minut. Zrumienioną rozrywa się ostrą łyżką lub dwoma widelcami na małe kawałki, osypuje cukrem z cynamonem i podaje na ciepło.

W braku piecyka można równie dobrze sporządzić tę leguminę na gazie. Należy ją tylko już podczas smażenia rozrywać ostrą łopatką i odwracać pojedyncze kawałki, uważając, aby się nie przypaliło.

KREM CZEKOLADOWY. 6 dkg masła i 3 żółtka uciera się z 6 dkg cukru, 6 dkg rozmiękczonej w cieple czekolady i 3 łyżeczkami mąki; pół litra mleka zagotowanego z kawałkiem wanilji, dolewa się, mieszając, do utartej masy, następnie ubija na parze, aż do zgęstnienia. Do wystudzonego kremu dodaje się kilka łyżek ubitej śmietanki i miesza z nim, lub też zastudzony w formie, następnie wyłożony na talerz krem, ubiera się bitą śmietaną.

CIASTKA Z DAKTYLAMI. 25 dkg cukru pudru uciera się z 3 żółtkami dość długo, potem dodaje się 25 dkg mielonych orzechów i pianę z 3 białek. Z masy tej formuje się łyżeczką małe kulki, w środek każdej daje się kawałek daktyla. układa na woskiem natartej blasze i suszy więcej, niż piecze w piecyku.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

★



Praktyczna szufelka w postaci dużego metalowego grzebienia z pomocą którego wybiera się z rondla makaron. Jednym chwytem można nabrać pełny talerz tej tak przez Włochów ulubionej potrawy. (Z wystawy gospodarstwa domowego „Dima" w Zurychu).

Fot.: Zygm. Borzęcki, Zurych.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 1

Styczeń — 31 dni



SOBOTA **1** Nowy Rok 1938	Zupa z drobiu.Głowa wieprzowa z chrzanem.Perliczka pieczona z krokietkami z ziemniaków i kompotem.Tort orzechowy z bitą śmietaną. Kolacja:Zimne mięsa z sał.maj
NIEDZIELA **2** Makarego	Rosół z ogona wołowego /ox-tail/.Paszteciki omletowe z szynką.Kaczka lub gęś pieczona z tarkonią.Kompot z jabłek i śliwek. Strudel z makiem. Kolacja:Zimna gąska z sałatką jarzynową.
PONIEDZ. **3** Genowefy	Zupa z płatków owsianych.Rizotto na podrobkach.Pieczeń sarnia z buraczkami. Omlet biszkoptowy z kremem kawowym. Kolacja:Kruszka cielęce osmażone w bułeczce.
WTOREK **4** Tytusa, Eugen.	Rosół z makaronem.Sztuka mięsa z sosem musztardowym.Paprykarz cielęcy z kluseczkami francuskiemi.Legomina z czerstwej strucli. Kolacja:Pierożki mięsne z rumianem masłem.
ŚRODA **5** Telesfora m.	Grochówka na wędzonce z grzankami.Purée z marchewki z krokietkami z makaronu.Baranina na dziko z buraczkami.Gruszki z kremem waniljowym. Kolacja:Smażona kiełbasa z musztardą lub w sosie musztardowym.
CZWARTEK **6** Trzech Króli	Zupa z drobiu z smażonym grzybkiem.Budyń z grzybów suszonych.Pularda pieczona z kompotem mieszanym.Pączki serowe z bitą śmietaną. Kolacja:Jaja w galarecie z sałatą endywią. Tort.
PIĄTEK **7** Walentego	Zupa ogórkowa.Jarzyny smażone w cieście /surprise/.Sandacz na niebiesko z twardem jajem i pommes frittes.Legomina ryżowa z konfiturami. Kolacja:Śledzie marynowane, ziemniaczki w mundurkach.
SOBOTA **8** Seweryna op.	Rosół z grzybkiem.Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu.Kotlety cielęce siekane z marchewką.Jabłka w cieście. Kolacja:Kaszka krakowska na grzybkach z twardem jajem.





Rozwiązania z Nru 51-go.

BASIA.

Basia ma 9 lat. Ojciec — 32, a dziadek 59. Gdy ojciec będzie mieć 59, Basia będzie mieć 36 — cztery razy więcej, niż obecnie, a o cztery lata więcej, niżli jej ojciec teraz. Założenie, że Basia ma więcej, niż 5 lat jest konieczne — inaczej zadanie miałoby dwa rozwiązania.

KTO PIERWSZY STRZELAŁ?

Mac Mean (posiadający rewolwer mniejszego kalibru) strzelał pierwszy, jak na to wskazują linje pęknięć szyby. Pęknięcia późniejsze górnego strzału dochodzą tylko do pęknięć wcześniejszych dolnego i na nich się zatrzymują.

ZGUBIONY BANKNOT.

Całkowita strata Janka wynosi 100 złotych.

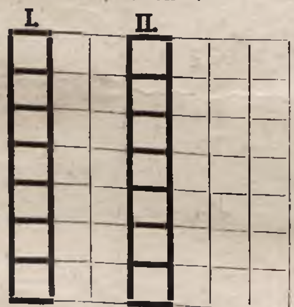
IMIĘ DZIECKA.

Córka pani Kanarkowej nazywa się Dorota.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF

Wpisać w poziomych rubrykach 7 wyrazów o podanych niżej znaczeniach. — Otrzymamy w rubrykach pionowych pierwszej i środkowej, oznaczonych cyframi I i II, dwa wyrazy ściśle związane z świętami Bożego Narodzenia.



Znaczenie wyrazów: 1) Znana gra krążkami na tablicy, 2) Inaczej — rwa kulszowa, 3) rzeka we Francji płd.-zach., 4) Jeden ze Stanów Ameryki, 5) Ogół mieszkańców danego kraju lub pewnej miejscowości, 6) Rośliny łąkowe, leśne lub wodne z żółtemi kwiatami, 7) Tkanina z jedwabiu i wełny.

(Tea) — Bydgoszcz.

KRYPTOGRAM „NOWOROCZNY".

Wybrać kolejno z 11 poniższych wyrazów po 3 sąsiadujące litery. Wybrane litery utworzą znaną przypowieść ludową w związku z N. Rokiem.

Wyrazy: 1) Nansen, 2) podkowy, 3) Rokitno, 4) przerwa, 5) grzyby, 6) młodość, 7) Hania, 8) nabiał, 9) wiara, 10) niski, 11) kokon

(Tea) — Bydgoszcz.

PIOTR I PAWEŁ.

Piotr jest półtora raza starszy od Pawła. Gdy Piotr miał dwa razy mniej lat niż ma teraz, to miał dwa razy mniej, niż Paweł będzie miał za 8 lat. Ile lat mają teraz?

PRZEPRAWA PRZEZ RZEKĘ.

Pan Wróbel z żoną i dwoma synami znaleźli się w kłopocie, mając przebyć rzekę w małej łódeczce o maksymalnem obciążeniu 100 kilo. Państwo Wróblowie to bowiem ważyli po 100 kilo, a ich synowie po 50 kilo, a mieli ze sobą psa, którego w żaden sposób nie można było nakłonić do przepłynięcia rzeki. Czy uda im się wobec tego przeprawić na tamten brzeg i w jakiej kolejności najwłaściwiej będzie przepłynąć rzekę?

MINY PODWODNE.

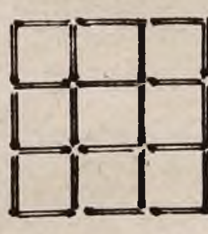
PŁN.



PŁD

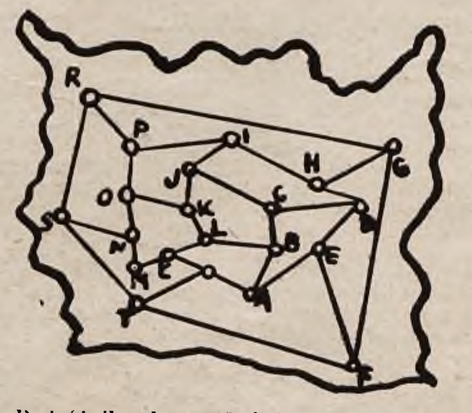
Rysunek przedstawia Morze Północne, gęsto usiane nieprzyjacielskiemi minami podwodnemi. Pancernik bezpiecznie przejechał między niemi z południa na północ w dwóch linjach prostych, nie napotykając żadnej miny. Proponujem czytelnikom narysować drogę pancernika między minami.

DZIEWIĘĆ KWADRATÓW.



Z dwudziestu czterech zapałek ułożono dziewięć kwadratów, tak jak to wskazuje rysunek. Proponujemy czytelnikom usunąć 8 zapałek w ten sposób, aby pozostały tylko 2 kwadraty.

DWADZIEŚCIA JEDEN MIAST.



Podróżnik, chcąc odwiedzić 21 miast uwidocznionych na mapie, rozpoczął swą podróż od T, przejeżdżając następnie przez S, R i P. Opuściwszy P i zwiedziwszy sześć dalszych miast spostrzegł, że chcąc kontynuować swą podróż, musi przejechać koniecznie przez znane mu już miasto po raz drugi. Jakie miasta odwiedził, wyjechawszy z P.?

KAMIEŃ WĘGIELNY.



— Tylko jedną cegłę, panie ministrze! Nie potrzeba murować całej ściany!

(Ric et Rac)

CIĘŻKIE CZASY.



— Jesteśmy gangsterami z Grenelle!
— Owszem wiem, byliście panowie wczoraj.
— Tak, ale mamy nowe nieprzewidziane wydatki...

(Ric et Rac)

OBOWIĄZKOWY PRELEGENT.



— Proszę niech pan usiądzie! Rozpocznę mój wykład na nowo dla tych, którzy go nie słyszeli od początku...

(Ric et Rac)

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

J. TUWIM „LOKOMOTYWA". Ostatnio ukazała się nowa, piękna książka dla dzieci p. t. „Lokomotywa". Jest to zbiór wierszy J. Tuwima („Lokomotywa", „Rzepka" i „Ptasie Radjo") z ilustracjami i opracowanych graficznie przez grafików Lewitta i Hima. Książkę wydał J. Przeworski w Warszawie.

Każde słowo wiersza Tuwima, podkreślone nienagannym układem graficznym, zyskuje nowe wartości — optyczne. Żyje barwą i dowcipem. Zaś wierszyk „Lokomotywa" jest przykładem chyba jak należy ilustrować teksty dla dzieci.

Praca spółki Lewitt i Him wydaje się być igraszką, figlem iskrzącym się od doskonałych pomysłów i humoru. Ale artystyczne wartości tej zabawy w rozrzucanie, wyolbrzymianie, rozstrzeliwanie ilustracją czcionek, są tego rodzaju, że małe cacko Tuwima bawi nietylko dzieci, ale także dorosłych, którzy z pewnością postawią je w swej poważnej bibljotece.

Takie wydawnictwa francuskie, jak „Éclair" (E. Averil), „Panache l'Ecureuil" (Lida), „Poudre" (E. Averil et L. Stanley) ilustrowane znakomicie przez Fiodora Rożankowskiego — przestają budzić zazdrość, gdy się ogląda „Lokomotywę" Tuwima.

Dobra książka dla dzieci powinna posiadać tekst literowy i obrazkowy. I to nietylko ta książka dla dzieci nie umiejących jeszcze czytać. Dźwięk słowa, jego barwa, wartość i dynamika opisywanego zdarzenia, stanowi dla dziecka przekonywujący argument, gdy jest ściśle związana z ilustracją.

Lewitt i Him nie zapomnieli, że świat dziecka nie posiada perspektyw i nie jest przeładowany szczegółami. Dlatego forma światka który dali w „Lokomotywie" wydaje się być doskonałą.

Jedynie oprawa książki, mało trwała, budzi pewne zastrzeżenia.

Na koniec trzeba J. Tuwimowi złożyć podziękowanie za odbytą przejażdżkę jego pociągiem, tak bardzo zabawnym i dziecięcym, a jednak pędzącym wśród stukotu kół i syku pary bardzo melodyjnie i rytmicznie i zupełnie jak pociąg prawdziwy. j. m. b.

NA SCENIE.

KRAKÓW. W pełni warszawskiego sukcesu pojawiła się na scenie krakowskiej „Gałązka rozmarynu" Zygmunta Nowakowskiego w inscenizacji samego autora. Oprawę dekoracyjną opracował p. K. Gajewski. Na wyróżnienie zasługują przedewszystkiem dekoracje do obrazu trzeciego (strzaskana dzwonnica), do obrazu w rowach strzeleckich pod Łowczówkiem oraz do epizodu, rozgrywającego się w Kielcach.

Nowością w porównaniu z wileńskim warszawskiem była inscenizacja przemarszu strzelców w Oleandrach, w przeddzień historycznego wymarszu z Krakowa. Z wykonawców (36 pozycyj, nie licząc statystów) należy wspomnieć o czołowych rolach: komendanta plutonu w wykonaniu St. Czajkowskiego, Juhasa — T. Burnatowicza, Iskry — T. Kondrata, Betona — Woźnika, Sasa — J. Kaliszewskiego, Brzytwy — A. Rycharskiego, kapelana — T. Białkowskiego, obywatelki Sławy — T. Sucheckiej. Dobre epizody dali pp. Szubert, Kłoński, Biegański, Turski, Fabisiak, Kolwas, Nowakowski i in.

WILNO. Po Warszawie i Krakowie światło kinkietów ujrzała w Teatrze Miejskim sztuka Morozowicz-Szczepkowskiej pt. Walący się dom. Wybornie zagrał rolę starego ziemianina Rakuskiego p. Wołłejko. Bardzo opanowaną była p. Szpakiewiczowa, jako Ludwika. P. Staszewski odtworzył postać dziarskiego (mimo czterdziestki) Janka. P. Koczanowiczowi przypadła rola wuja-rezonera. Z innych wykonawców wymieniamy pp. Jaglarza, Granowską, Erchastówne, Billinga i Połońskiego.

BYDGOSZCZ. Odbyła się tu prapremjera operetki Józefa Beera pt. Polskie wesele, opartej na motywach ludowych. Krytyka podkreśla zgodność ilustracji muzycznej z tekstem, mówiąc o „niemałym kunszcie kompozytora". Duży sukces odniosła p. H. Wańska w roli administratorki majątku. P. Tatrzański zyskał uznanie jako hr. Stanisław Boruta. P. Domosławski (reżyser widowiska) odtworzył postać obywatela ziemskiego. Pp. Grywiczówna, Wawrzkowicz, Winczewski. Tańce w wykonaniu pp. Sobołtówny i Wojnara.

POZNAŃ. Jednem z najpiękniejszych widowisk poznańskiej opery jest wystawiony obecnie Holender-Tułacz. Dzieło Wagnera otrzymało staranną, artystyczną oprawę, zaprojektowaną przez p. Strohma, dyrektora opery hamburskiej. Realizatorem jego pomysłów był p. Z. Szpingier. Na czoło wykonawców wysunął się p. Eugenjusz Maj w tytułowej roli. Poza tem należy wyróżnić pp. Bojar Przemieniecką, M. Janowską-Kopczyńską, K. Urbanowicza. Dyr. Latoszewski stanął przy pulpicie jako kapelmistrz.

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 2 stycznia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa — z Łodzi.
10.30 Koncert w wyk. Chóru Kaplicy Sykstyńskiej i Benjamino Gigli. Transmisja z Watykanu (stille).
12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa.
13.10 „Górnoślązaczka" — nowela P. Gojawiczyńskiej.
13.30 Muzyka obiadowa (z Poznania).
15.00 „Gody" — komedja ludowa.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Muzyka kompozytorów północy — koncert.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.05 Słuchowisko „Sen pana Łukasza" według B. Prusa.
19.35 „Słynni wirtuozi" (XI audycja).
21.00 Noworoczna audycja sportowa.
21.20 „Ta joj" — wesoła audycja.
22.05 Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki (IV aud.).
22.30 Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga.

Poniedziałek, 3 stycznia.

6.15 Audycja poranna.
11.40 Od warsztatu do warsztatu.
15.45 Z pieśnią po kraju — audycja z Poznania.
16.15 Orkiestra Straży Więziennej.
17.00 „Najdłuższy most" — pogadanka.
17.15 Recital wiolonczelowy Rafała Lanesa.
18.10 Nowe nagrania Lucyny Szczepańskiej (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 „Dyskutujmy: „Dlaczego zajmujemy się życiem naszych bliźnich".
20.00 „Raz to mało — wspomnienia muzyczne z grudnia 1937".
22.00 „Arcydzieła muzyki symfonicznej" — VI audycja.

Wtorek, 4 stycznia.

6.15 Audycja poranna.
15.45 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci.
16.15 Mikołaj Rimskij-Korsakow: Kwintet B-Dur (z Poznania).
17.00 Kraj pustyni i bogactw — odczyt.
17.15 Koncert rozrywkowy w wyk. Zespołu Mandolinistów Rozgłośni Katowickiej.
17.50 Mikroskopijne żyjątka pod lodem — pogadanka.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Biesiada artystyczna Rybałtów" — wieczór literacki.
19.30 Polska twórczość chóralna (V audycja).
20.00 „Tańce polskie Zofji Stryjeńskiej" — audycja z Krakowa.
21.00 Konc. symfoniczny z Wilna.
22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Środa, 5 stycznia.

15.45 Brazylijskie [illegible] — pogadanka dla dzieci starszych.
16.00 „Uczmy się mówić".
16.15 Koncert rozrywkowy w w. Orkiestry P. R.
17.00 Ustrój państwa a przyszła wojna — odczyt.
17.15 Recital skrzypcowy Zdzisława Roessnera
17.15 Pożyczka na słowo — pogadanka.
18.10 Muzyka lekka z płyt.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Złoto" — fragment z powieści Struga „Miljardy".
19.20 „Melodje Indyj" — reportaż.
19.35 „Co zarzucamy polskim filmom" — dialog.
20.00 Piosenki liryczne i komiczne (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji.
22.00 Wieczorny koncert rozrywkowy w wyk. Krak. Kwartetu Schrammla.

Czwartek, 6 stycznia.

9.00 Transmisja nabożeństwa — z Katedry Ormiańskiej we Lwowie.
10.30 Muzyka z płyt.
12.03 Poranek muzyczny.
13.00 Wspomn. ukraińskie o Władysławie Orkanie — szkic lit.
13.13 Muzyka obiadowa.
14.41: Audycja dla wsi.
15.45 Audycja dla dzieci „Jasełka" — Marji Konopnickiej.
16.15 Koncert solistów.
17.00 O książce „Dzieje Polski nowożytnej".
17.15 Polska Kapela Ludowa Dzierżanowskiego.
18.10 Muzyka taneczna z płyt.
19.05 „Bawimy się w Króla Migdałowego", audycja z Poznania.
20.00 „Tancerka Fanny Elsler" — operetka.
21.50 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki.
22.05 Piotr Czajkowski: Trio e-moll op. 50.

Piątek, 7 stycznia.

15.45 „Jak pan burmistrz zadziwił swych obywateli" — pogadanka dla dzieci starszych.
16.15 Kolendy w wyk. Chóru Cecyljańskiego, przy kościele O.O. Franciszkanów w Warszawie.
17.00 „Kooperatystka polska" — felieton.
17.15 Polskie utwory kameralne — koncert.
18.10 Audycja dla wsi.
19.00 Fragm. słuchowiskowy z dramatu „Tyberiusz" W. Bąka.
19.35 Orkiestra rozrywkowa z Łodzi.
20.05 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 8 stycznia.

15.45 Słuchowisko dla dzieci pt. „Związek drapieżnego sępa".
16.15 Orkiestra wojskowa.
17.00 Transm. nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.15 Królewski zespół cygański z płyt.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.45 „O człowieku, który sprzedał własny szkielet" — skecz.
22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.